

tygodnik lubuski nadodrże

CZYTELNIA

ELONA GÓRA

5 — 11 XII 1989 r.

ROK XX XIII 26 (709)

CENA 200 ZŁ

Od nowa

kórzy np. związali się z Koś-
em, czuli się moralnie lepiej.
dzisiaj nie można mówić o po-
technicznej tolerancji, tak potrzeb-
szujące.

STR. 5

Los Edwarda M.

Dotarłem do tego kierowcy. Nie
chciał jednak mówić. — Nie war-
to. Wszystko minęło. Milczą tak-
że dawni znajomi Edwarda M. —
Po co komu stare stresy. A więc
stresy były? — Pewnie, że były.

STR. 9

Na boisku piłkarskim gorą Gorzów

Futbol w obu województwach eg-
zystuje mniej więcej w takich sa-
mych warunkach. W obu też okré-
gach piłkę nożną trapią podobne
problemy. Brak pieniędzy na
sprzęt, transport czy choćby zwy-
kłe diety to zmore małych klu-
bów i kół LZS.

STR. 11

Czy zbrodnie doskonale?

Kilku chłopców beztroosko biega-
ło po szkiełnym dziedzińcu. W pew-
nej chwili któryś z nich wrzasnął
przez ziewnięcie: chodźcie, jakaś ko-
bieta tu leży. Dzieciaki pobiegły.
Wtedy jeden z chłopców zbladł i
wyszeptał: to moja mama.

STR. 12

u Gorbaczowa, Kohla i...



Odchodząc od języka dyplomacji i zdając sobie sprawę, że żyjemy przecież na tym świecie, musimy
bie uświadomić i powiedzieć wyraźnie, że równość jest względna.

STR. 8.

z regionu...

KIERUNKI ROZWOJU ROLNICTWA I GOSPODARKI ŻYWIENIOWEJ w woj. zielonogórskim do roku 1995 — to podstawowy dokument, jaki na ostatniej sesji uchwały Wojewódzka Rada Narodowa. Rada wystąpiła także z apelem, aby wesprzeć wysiłki radu zmierzających do wyprowadzenia kraju z kryzysu i bezplatnie przepracować jedną wolną godzinę tygodniową, a uzyskane środki przeznaczyć na Fundusz Wspierania Inicjatyw Gospodarczych Rządu.

FUNDUSZ NATALIKI. Ze wstrząsającym odzewem społecznym spotkał się apel uczennice LO — w Zielonej Górze ogłoszony na la mach „GL” o przyjęcie, z pomocą matki Natalcie Zieleń, która wymagała skomplikowanego i kosztownego leczenia w USA. Na adres rodziców małej zielonogórzaneczki specjalnie ustawionych skarbonkach „Hermes”, Rolniczym Domu Towarowym, sklepie „8” i kaniztorze, wymiana walut w paszku przy ul. Chopina płyną drobne pieniądze, zdarzył się nawet złoty pierścionek. WRN w Zielonej Górze uchwaliła 5 mln zł na ten cel. Życzymy zdrowia, Nataliko!

THE NEW THEATER z Wielkiej Brytanii wystąpił dwukrotnie w sal klub „Polskie Węzły” w Zielonej Górze na zaproszenie Ośrodka Sztuk Widowiskowych. Pokazano rzecz Phila Smitha i Paula Stebbingsa pt. „Arlekin”.

WZNOWIONO KOMUNIKACJA LOTNICZĄ Zielona Góra — Warszawa. Funkcjonuje ona trzy razy w tygodniu. Jej niedostępność polega głównie na zbyt późnym o godzinie 17.45 odlocie z Warszawy. Koszt biletu w jedną stronę — 12.500 zł.

ANTENY SATELITARNE upowiększają się w Gorzowie. Obecnie zainstalowane legalne anteny posiada 22 mieszkańców województwa. Najwięcej w Gorzowie, ale również w Międzyochodzie, Mysliborzu Choszczynie i Drezdenku.

KŁOPOTY Z PAPIEREM. Od początku listopada w kostorzyskiej „Celulozie” wydanie rękopisu rymu produkcji papieru. Co jakiś czas dochodzi do kilkunastu godzin postójów maszyn papierowych z powodu braku celulozy. Nie ma drewna, bo faktury nie płaci leśnikom, energetykom itp. (dług ok. 3 mld zł) ale też odbiorcy kostorzyskiego papieru winni są „Celulozie” bagatela — 6 do 7 mld zł. Impas.

PP „DOM KSIĄŻEK” w Zielonej Górze uzyskało jedną z dwu trzecich nagród w dorocznym konkursie Ministerstwa Kultury i Sztuki na najlepszą stylizowaną kabinę zabytkowego obiektu. Tym nagrodzonym obiektem jest odrestaurowana w Lubniewicach chata z końca XVIII wieku, w której mieści się obecnie księgarnia.

REAKTYWOWANO ZPAP w Gorzowie. Na czele Środkowskiego Komitetu Organizacyjnego Związku stanął Wiesław Strebę

ko. Zakłada się, że samodzielny Okręg ZPAP powstanie także w Gorzowie. W starej strukturze placysty gorzowscy i zielonogórscy należeli do jednego okręgu.

DREZWO GRZECHU. W Bibliotece Literackiej Gorzowskiego Towarzystwa Kultury ukazał się 28 tom pisma — wiersze Kazimierza Furmanka. Tom zawiera 32 utwory, jego redaktorem był Zdzisław Morawski, a ciekawą stać się grafię na zaprojektował Andrzej Gordon.

ZMIANY NAZW ULIC STALY się modne. Np. decyzją rady narodowej w Ośnie przemianowano ul. Rewolucji Październikowej na Jeziorną, a ul. Bohaterów Stalingradu na ul. 11 Listopada. Trudno się oprzeć refleksji: gdyby nie Stalingrad, nie byłoby w Ośnie ul. 11 Listopada.

PRZYMIARKI NA SYLWESTRA. Od 160 tys. do parę w zielonogórskim „Topazie”, „Podgórze”, „Witkowskiej” do 300 tys. w „Palmiarni”. Wesołe zabawy!

OSTATNIE CHWILE ORMO. W poniedziałek 27 listopada br. w gmachu UoP w Zielonej Górze zebrał się aktyw ponad sześćdziesięciu nie Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej. Było to jedno z ostatnich spotkań organizacji, co do której losów — jak wiadomo — zapadała uchwała Sejmu, brzmiała jednoznacznie, mianowicie: rozwiązać. (6)

WKROTKO „TREDOWATA”. W Teatrze im. L. Kruczkowskiego w Zielonej Górze trwają próby dramatu napisanego przez Joannę Olczak-Roencier według powieści c. Heleny Miśkowskiej „Tredowa”. Reżyseruje Janusz Kozłowski, od niedawna naczelny dyrektor teatru. Postać tytułową Stefci Rudackiej kreuje Tatiana Kozłowska, aktorka pochodząca, — o czym warto wspomnieć, z Zielonej Góry (córką znanego parę archeologów i muzealników — Barbary i Adama Kozłowskich). Rolą ordynata Waldemara Michorowicza gra Andrzej Kiełtński. Przedstawienie zapowiada się ciekawie.

ZIADŁO 150 MAREK. Pewien urzędnik państwowy w naszym województwie, w strachu przed przypaleniem na braniu łapówki w postaci 150 zachodnich marek, blizkawicznie wpakował sobie do ust banknoty — i zjadł je. Czy mu wyszły na zdrowie, tego nie wiemy. Natomiast pewne jest, że gdy by przyjął łapówkę w tej samej wysokości, lecz w złotych, spożył je w tak szybkim tempie nie byłoby możliwe.

Po wizycie gości z Ukrainy

♦ KAT SIĘ TWORZY EKUMENA! ♦ NOWE PRĄDY W TPR?

Przyjechała do Zielonej Góry delegacja Towarzystwa Rehabilitacyjnego Ukrainy: chirurg Włodzimierz Teteruk — zastępca generalnego dyrektora Ukraińskiego Towarzystwa Ortopedycznego, ortopeda Anatolij Prytyka — specjalista do rehabilitacji i inżynier konstruktor Jurij Krasuk — dyrektor Kijowskiego Instytutu Protezowania.

Pierwszy nasz kontakt z nimi, pierwszy ich wyjazd za granicę. Zwiedził świebodziński ośrodek założony przez dr. Wierusza — przyjęli przez dyrektora dr. Wandę Kotwicką, oraz oddział ortopedyczny w Szpitalu Wojewódzkim w Zielonej Górze, prowadzony przez dr. Jana Doleckiego. Zbaczyli Dm. Zbrowidowa — i przysłali, że takiego u siebie nie mają.

W Urzędzie Wojewódzkim przyjął ich wicewojewoda Jan Zieta, w Komitecie Wojewódzkim ZPFR — kierownik wydziału społeczno-administracyjnego Jan Herba. Spędził kilka godzin w Zarządzie Wojewódzkim TPRP, z sekretarzem ZW Zygmuntem Stawrowskim. Rozmowa przebiegała wokół spraw przyjacieli, nieko niecznie traktowane globalnie — z „naroden radzieckim”, ale tak że z „narodami republik min. z 60-tylioniowym narodem Ukrainy.

Towarzyszący gościom lekarz wojewódzki Wiesław Kubacki i prezes oddziału Towarzystwa Walek z Kalcitem dr. Edward Halciewicz, zostali nieco zakoczeni ich życzeniem:

— Teraz chcielibyśmy do kościoła, na nabożeństwo. I żeby przybył organ...

W ten sposób delegacja z Kijowa, wraz z towarzyszącymi osobami, znalazła się w kościele

Najświętszego Zbawiciela. Uprzedzono o tym proboszcza ks. prałata Konrada Hermannia osobicie, ale brawo! popołudniowa msza. Kościół był pełen ludzi, ponieważ nabożeństwo miało odbyć się, zapowiadany w całym mieście afiszami, koncert chóru Kurczewskiego z Poznania.

W połowie nabożeństwa ks. Hermann zwrócił się do wierznych, poinformował o obecności delegacji z Kijowa, po czym zainicjował wspólną modlitwę w intencji narodu ukraińskiego. Grali organy, śpiewali wspaniali, sławny chór chłopięcy. A ery Kościoła katolicki modlił się za prawosławną Ukrainę.

Ten dzień 15 listopada 1989 roku będziemy pamiętać przez całe życie — mówili goście z Kijowa, już na plebani, przy herbacie. I przy jednym stole z przybył akurat do ks. Hermannia delegacja charytatywna Kościoła ewangelickiego ze Szwecji.

Rozmowy przy stole dotyczyły... marksizmu i chrześcijaństwa. Przy czym, jak twierdził dr. Halciewicz, marksizm sam przyjął, iż jest podstawowym błędem nauki, którą wyznają, jest także się przedmiotem, a nie podmiotem. Sprawami materii — z równocześnie całkowitym odrzuceniem sfery duchowej.

Goście z Kijowa po raz pierwszy, jak mówili, rozmawiali z kapłanem. Nigdy przedtem nie widzieli z bliska zakonnicy. Byli pełni podziwu:

— To u was jest... tak?

W ten sposób tworzy się świadectwo ekumena. I naci przyjaźni między narodami. Przyjaźni bez uprzedzeń, kalkiem nowych.

HALINA KARBEK

Pamięci Eugeniusza Pauksztys

W tym roku minęło dziesięć lat od śmierci autora „Pogranicza”. Niedawno w Wołstyńce odbyło się spotkanie poświęcone jego życiu i twórczości. Wspominali Mihał Kaniów, Alfred Sialecki i Henryk Szyk, przedstawiciele zielonogórskiego środowiska literackiego.

Warto przypomnieć, imię Eugeniusza Pauksztys nadano swego czasu księgarni w Wołstyńce, zaś Gabriel pisarza znajduje się w Muzeum Książki Środkowego Nadodrza w WIMBP w Zielonej Górze.

SPOTKANIE Z SENATOREM PIOTROWSKIM. W Klubie MPiK w Zielonej Górze senator Walerian Piotrowski spotkał się z wieloma bymorcami. Pytania i wnioski dotyczyły m.in. amnestii i kary śmierci, przelotów o wymianie pieniężnej, przyszłych wyborów do samorządu, przyszłości politycznej i gospodarce kraju oraz postaw i wychowania młodzieży. Krytycznie oceniono ostatnie zmiany w telewizji.

JUBILEUSZ „SANEPIDU” 35-letnie obchody Państwowa Inspekcja Sanitarna. W woj. zielonogórskim się to święto łącznie ponad czterystu osób, pracujących w ośmiu „Sanepidach” w terenie, i w Wojewódzkiej Stacji w Zielonej Górze. Podczas akademii z udziałem wojewody Zbyszka Pionowskiego i przewodniczącego WRN Wiktora Hołduna, 22 osobom wręczono odznaczenia państwowe i regionalne, zaś cała firma otrzymała zbiorową odznakę „Za zasługi w rozwoju woj. zielonogórskiego”.

LUDZIE BEZDOMNI

- **PIŁNIE POTRZEBNE NOCLEGOWNIE**
- **DOMY POMOCY SPOŁECZNEJ PRZELADOWANE**

Nie każdy człowiek śpiący na ławce w parku czy poczekalni kolejowej, idący chwiejnie ulicą czy grzebiący w śmietniku, to pijak i chuligan. Może to być po prostu człowiek biedny. Bez pieniędzy, rodziny, domu. Są tacy ludzie wśród nas, jak się nagle okazało.

Na blursku mir Franciszka Majewskiego szefa Wydziału Prewencji WUSW w Zielonej Górze leży smutny wykaz. W Lubusku wiele osób, w Zaganiu zszesnście, w Nowej Soli 59, w Sułchowcu 35, w Krośnie Odrzańskim 36, w Zielonej Górze 47 i w Wolstyńnie najwięcej: 57 bezdomnych.

Łącznie w całym województwie zielonogórskim, jak wykazują milicijne dane, z pewnością jest ich niepełne — żyje 240 osób bez domnych, samotnych, wymagających pomocy jak najpilniej, już, zaraz.

Są to ludzie przeważnie w starszym wieku, schorowani, zaniedbani, niedożywieni, w bardzo złym stanie psychicznym, często sprawiający wrażenie chorych umysłowo, choć takimi nie są. Część z nich odbiera na noccelego co miesiąc rentę lub emeryturę, bardzo niską. Część posiada jakiś kąt, do którego czasem powraca.

Około 60 osób ma bliską rodzinę, czasem nawet mieszkałą w tym samym mieście, prawie zobo-

wiązana do troski i świadczeń, jednak nie spełniają tych obowiązków.

Z czego żyją i gdzie śpią? Niemal wszyscy zajmują się zbieraniem makulatury, butelek albo złomu, latem i jesienią łuszczą owoce i grzybowi. Użytkowane w ten sposób pieniądze wydają na jedzenie, czasem na alkohol, choć aktywnych alkoholików nie ma wśród nich zbyt wielu.

Nocą spotkać ich można na śmietnikach. We dnie czasem na ulicy, gdy pchają stary, dziecinny wózek, wyładowany makulaturą, w kierunku składowej odpadków.

Latem spijają w altankach, w ogródkach działkowych. Zimą przenożą się do bloków, tam, gdzie w klatkach schodowych są grzejniki.

Zdarza się, że mieszkanie takiego bloku nie jest dla niego na koszt śpiącego pod koryfem. Wtedy wzywa pogotwo wie milicijne lub ratunkowe. Po gotowie przyjeżdża — i co dalej? Pijanych odwozi się u nas do szpitali, wyciąga, choć ostatnio coraz częściej do domu. Chorych

— do szpitala. A dokąd ma zostać odwieziony człowiek nie pijany i nie chory, lecz bezdomny? Pytanie to pojawia się coraz częściej i pozostaje bez odpowiedzi.

W województwie zielonogórskim istnieje dziesięć Państwowych Domów Pomocy Społecznej, pozostających w gestii służby zdrowia, o łącznej liczbie 1176 miejsc. W tym cztery są domami rencistów — w Zielonej Górze, Żarach i Jordanowie, zaś sześć pozostałych domów przeznaczonych jest dla osób ciężko i przewlekle chorych.

Domu te przepełnione są do ostatniego łóżka. Nie ma mowy, by ot tak, któregoś nocy, przywieźć tam i zostawić nowego pensionariusza, choćby tylko na jedną dobow. Szczególnie trudności są z umieszczeniem gdziekolwiek mężczyzn. Czas oczekiwania na wolne miejsce może wynosić dwa lata. Inaczej mówiąc, kandydat po prostu czeka, aż ktoś umrze — i zwołni się łóżko dla niego. Nieco łatwiej jest o miejsce dla kobiety, choć nadal niełatwo, wynosi przeciętnie dwa miesiące.

W okresie dziesięciu miesięcy br., czyli od 1 stycznia do końca października, służbie zdrowia i opiece społecznej udało się umieszczyć w domach opieki tylko cztery osoby. Aktualnie na skierowania do konkretnych domów czeka 150 schorowanych, samotnych osób, w tym 80 mężczyzn. Są w tej liczbie również dzieci.

Dwa domy prowadzi „Caritas” w Kienicy dla upośledzonych dzieci i w Wolstyńnie dla kobiet. Tak jest i w wielu innych miejscach.

W województwie brakuje domu pomocy dla przewlekle cho-

rych alkoholików. Najbliższy tego typu zakład znajduje się woi. kaliskim. Tam z kolei brakuje domu kombatanta, więc sąba zdrowia, choć województwo woli tu dość niezwykłą formę.

Ludzie bezdomnych przebywają w szpitalach. Ujawiają się wraz z pierwszymi dniami i spadkiem temperatury. Wszym krajoznawcy są elementarnym. W kraju, który zmienia kształt światła, przysyłają ich ludzi się nie dostrzegają. Wszak opiekunowie państwa ludem zapewnią pracę — być tylko obywateli, co zaszczyt przydzielano mieszkańcom, wzm. Tożek teraz problem ukazał się z całą ostrością.

W Krakowie istnieje Dom dla Brata Alberta. Któregoś padowej nocy PR nadało wyślijający raport z tego domu, zowany przez red. Adama Woljowskiego. Wkrótce potem słowny, o ludziach bezdomnych żyjących w Szczecinie. Jest więc problem ogólnopolski.

Nie ma się czego wstydzć. No, trzeba również te wewnętrzne „białą plamę” ukazać i oddać. Opisać społecznie, a nie tylko politycznie potrzebne są noclegowne, to nie mniej, niż bary i restauracje. Miejsca, gdzie za niewielką opłatą, bądź za możliwością, opisać społecznie, a nie tylko politycznie, mógłby spędzić noc i dostać ciepłego do jedzenia.

Jest to temat do podjęcia przwidziamy — w jak najniejmijszym trybie.

HALINA ANSKA

O osieroconych dyrektorach

MÓWI ANTONI RUTKA, DYREKTOR ZIELONOGÓRSKIEGO ODDZIAŁU TOWARZYSTWA NAUKOWEGO ORGANIZACJI I KIEROWANIA

— Jako szef sam powody do zadowol. Startując z jednym kapitałem, społecznym zaufaniem, dziś Oddział nasz należy do najpotężniejszych w Polsce. Dorobiliśmy się pięknego lokalu w centrum miasta. Mamy nowoczesną drukarnię umożliwiającą prowadzenie rozległej działalności wydawniczej, kilka komputerów IBM. Czekam na zmontowanie telefaxu. Angażuję środki przez nas wypracowane, w ciągu kilku ostatnich lat nasz majątek trwały powiększył się dwiście razy. Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek liczą się ci, którzy dysponują kapitałem. Oni mogą się rozwijać. Mają wpływ. Innym powodem do zadowol. jest i to, że robicie interesy zapracowujemy na merytoryczną działalność statutową. Najnowsze metody organizacji i zarządzania, które propagujemy w kadry kierownicze gospodarki, są sprawdzane na nas samych i naszych agendach. Patrząc na skutki mogę powiedzieć, że te metody są efektywne.

Firmy państwowe, kilka lat temu uchodzące za żałośnie, biednie, jak w oczach. Natomiast są na nie ciężary, których nie są w stanie udźwignąć. Jak się wydaje, proces pauperyzacji przedsiębiorstw państwowych jeszcze dnia nie osiągnął. Jest przy naszym Oddziale Zielonogórską Radą Dyrektorów, powołana jako jedna z pierwszych w kraju, skupiająca 10 dyrektorów naczelnych przedsiębiorstw. To nasze oko w głowie. Od dyrektorów czerpiemy sugestie uprawniające naszą pracę. Wiemy, co dzieje się w gospodarce. Znamy nastroje wśród dyrektorów przedsiębiorstw. Muszę więc powiedzieć, że ich kondycja psychicz-

na, często fizyczna ulega przedwcześnie na zawaly, jest fatalna. Jest to groźne zjawisko. Dużo od dyrektorów naczelnych zalety pomyślności przedsiębiorstw, zarobki załóg. Stają się oni faktycznymi reprezentantami władzy, choć bywają ubiegani w swoim interesie, postawy bad pracowników, związki zawodowych. Tracąc się o dobro przedsiębiorstw, którym kierują, dyrektorzy popadają w konflikty z samorządem. Organ załogowców, który jest urzędem, powinien, ale nim nie jest, być rozjemcą. W imię własnej wygody, lub dla przypodobania się nowej ekipie rządzącej, zajmuje pozycję neutralną. Jak się wydaje, organy załogowców nie mają przed sobą przyszłości. Są rozwijaniem chwilowym.

Dyrektorzy ze szkoły nakazowo-rozdzielczej, znaleźli się w zupełnie nowej sytuacji. Nowe wieloletnie nawyki nie pozwala odpowiadać na wyzwania współczesności. Jestem zdania, że powinni oni szybko połączyć się z zajmowanymi stołkami. Tak będzie lepiej i dla nich i dla przedsiębiorstw. W końcu dla nas wszystkich. Wielu cierpi z tego powodu, że nie ma komu wypłacać się w kłapie marynarki. Komitety partyjne zupełnie się do tego już nie nadają. Nowa władza polityczna nie znalazła jeszcze wspólnego języka z kadry kierowniczą. Chcieliby ona wymieniać ludzi na kierowniczych stanowiskach, bo jest to naturalny sposób umocnienia swojej pozycji społecznej. Nowa nomenklatura, tych swoich chce z czołowych praktycznych powodów, nie może realizować w zamierzonej skali. Po prostu nie ma ludzi z obcym i praktyką kierowania zes-

polami ludzimi, odpowiednio wykształconymi kompetentnych. Na posiadanie takich ludzi trzeba długo, cierpliwie, nie szczędząc środków, pracować. Dyrektorów kosi sytuacja Stan zdrowia. Zmęczeni. Wychodzą z gośdanki z przyczyn obiektywnych. Bývają nie przyczyny subiektywne. Kierowanie tymi spółkami jest o wiele łatwiejsze, mniej satysfakcjonujące, ale lukratywniejsze. Ubytki w kadry kierowniczej są coraz wkeze. Straty społeczne z tych ubytków wnikające, są ogromne i nie do powrotu. Tylko nieliczni dyrektorzy naczelnicy, ale i ci są w województwie zielonogórskim, są jak wobec różnorakich nieprzyjajnych dachności postawę twardą i bojową. Tacy pozwolą się czynić kłozami ofiarnymi, a nie bardziej nie dadzą łatwą głowy, pod polityczny topór.

Z racji zawodowych kompetencji zdarza się uczestniczyć w pracach komisji rozstrzygających konkursy na stanowiska dyrektorskie, które pewnym rozkazem należą do pierwszobu w zaganianiu kandydatów. Nie mają oni dostatecznej wiedzy, ani praktyki. Nie wiedzą jak smakuje dyrektorski chleb i jak ma natomiast wiele ambicji. Może żałować, że już tamtym latami byłby niezły dyrektorem. Tylko, że nie czas na naukę na własnych dach. Wiele konkursów, w których uczestniczą przypomina mi zawody piyałkowe, w których startują zawodnicy nie umiejący pływac. W bieramy spośród tych, którzy pływają po kłozie — wprost głupot.

Kadry kierownicze, menadżerowie są w gospodarce w krajach wysoko rozwiniętych. Od nich zależy pomyślność i postęp. Jest to racja, za rotacją na kierowniczych stanowiskach, gospodarce, za zastępowaniem gorszych, zmyślni. Niszcze, poza Polską, nie traktuje ludzi na kierowniczych stanowiskach w sposób tak brutalny i bezmyślny. Wykopuje ich z foteli odbierając godność osobistą i honor, a potem namotrzuje kwalifikacje. Jest stanowczo przeciwn takiemu praktyce.

Notował: RYSZARD ROWIN

Z BOGUMIŁĄ CHŁODNICKĄ, DYR. BIURA WYSTAW ARTYSTYCZNYCH W ZIELONEJ GÓRZE ROZMAWIA WIESŁAW NODZIŃSKI

— Biuro Wystaw Artystycznych, i zwłaszcza jego salon wystawowy — stał się trwałym wrogiem w pejsach kulturnej Zielonej Góry. Wielu z nas pamięta niezbyt odległe jeszcze czasy, kiedy za sprawą najwybitniejszych artystów, teoretyków literackich stanowiły one centrum życia kulturalnego miasta. Wówczas w sztukię wchodził człowiek, którego widać było, znakomitego, poety Juliana Przybosa, blizy jego był Paryż niż Warszawa. To z ducha i idei imprez „Złotego Grodu” wyrosły nowe zjawiska artystyczne związane z BWA w postaci Galerii „Po” czy Biennale Sztuki Nowej, których twórcami byli i są ludzie, którzy nie ulegli zmianom, a równocześnie coś nowego. Ale też czasy są nowe i niełatwe. Jak w nich odnajduje się instytucja, która pani kieruje?

— Mogę z sentymentem wspominać czasy, które były, choć przede mną nie moge wyzyskiwać przyświeć BWA. Było ono tylko jednym ze współorganizatorów tego, co się stało. Wtedy nie było jeszcze ogólniejszych ludzi. Tylko sześćdziesiąt i siedemdziesiąt — to były czasy dobre dla kultury, a już szczególnie dla plastyki. Szkoda, że później tak wiele stracono z tego co stanowiło nasz wspólny, artystyczny dorobek. Nie ma nawet dokumentacji tej „Złotej epoki” — jak nazywali „Pracownicy i twórcy”, które w swoich realizacjach i konstatacjach były jednym z ważniejszych wydarzeń w powojennej historii sztuki polskiej. W następę poszedł ZPAF, który był niestety wielce dalekim i który natomiast usiłuje się odnawiać.

— Trzeba więc być zaczynać

— Własciwie tak. Wiele osób powiększyło w środowisku w którym żyje, wola i zapał, że "zrobię ten kraj" czy "zrobię ten kraj Groma" i jak je kontynuować. Nie uzyskaliśmy jednak wielu odpowiedzi na to pytanie. Dla nam ja, prof. Wojciechowski, uważam, że wola i zapał naszych współczesnych dokonają, z którą wraz z p. Jolą Zdziałkiewicz uważaliśmy w Warszawie. Potwierdza to, oprócz tego, że wola i zapał naszych współczesnych dokonają, z którą wraz z p. Jolą Zdziałkiewicz uważaliśmy w Warszawie. Potwierdza to, oprócz tego, że wola i zapał naszych współczesnych dokonają, z którą wraz z p. Jolą Zdziałkiewicz uważaliśmy w Warszawie.

nem młodziści. Działali także w głównym nurcie naszej działalności, polegającej na prezentowaniu i upowszechnianiu sztuki współczesnej. W stałym cyklu np. „Pracownia” dokonujemy cyklicznej aktualizacji wystaw, włączając do oryginalnym program pracowni wyższych szkół i artystycznych. Przedstawiliśmy już pracownię Ryszarda Wińskiego, Jana Beresowskiego, a w tym roku – w ramach Wandy Górkowskiej Jarosława Kozłowskiego. Wystawy z tego cyklu stworzyły niezwykłą możliwość sledzenia tu i na raz w jednym miejscu tygodni procesów katechetycznych i artystycznych. Wobec studentów, bezpośredniego kontaktu z nimi oraz z ich nauczycielem, mistrzem. Im zaś sam pobyt tutaj pozwala na konkretną ocenę i wyrażenie opinii. Wskazujemy, i tak np. student



cownik A. Dłużniewskiego skupili się na nieznanym im przestrzeni urbanistycznej Zielonej Góry, co znalazło odbicie w ich twórczości. Cykl ten ma już swoją stałą, barwną chłoną publiczną.

— Trudno nie zauważyć także waszej pracy z dziećmi...

— Widać się to bowiem ściśle z naszą działalnością upowszechnieniową. Zajęć edukacyjno-plastycznych dla dzieci przeprowadziliśmy sporo. Zaczął je prowadzić p. Paweł Michał Markowski z Łodzi, następnie p. Eugeniusz Józefowski z Wrocławia i od nas p. Agata Buchalik-Drzyzga, p. Dąszkiewicz. To świetni pedagodzy, a rezultaty pracy uczniów można było zobaczyć przed budynkiem

— Jest to na pewno potencjalna publiczność waszego salonu, przyszli, wrażliwi odbiorcy sztuki. Temu celowi, przygotowaniu tego odbiorcy, służy także Galeria. Po-

— W dużym stopniu, choć ma ona także charakter promocyjny. Muszę powiedzieć, że bardzo się cieszę, iż nasz pracownik, p. Witek Kozłowski wraz ze swoim kolegą, fotografikiem Leszkiem Kruńskim-Krechowiczem stworzył tę galerię. Robią to z pasją i nie dla pieniędzy. Ale też organizowane przez nich wystawy, na które

ściągają swoich przyjaciół z Polski, nie spotykają się z obojętnością, wywołują wiele kontrowersji, często na granicy skandalu. Bez tego nie ma sztuki, zwłaszcza młodej. Ich sukcesem jest, że mają liczną młodzieżową publiczność, a dyskusjom w czasie wystaw i demonstracji nie ma końca. To upewnia nas w sensie tego, co

— Bardzo często odwołuje się pani do młodzieży. Sprawdziło się więc to, co powiedział wam kiedyś prof. Wojciechowski.

— W całej rozciągłości. A najlepszą manifestacją tego jest odbyte u nas już po raz trzeci Biennale Sztuki Nowej. Zaczęło się to od zorganizowanej przez Zenona Polusa i Zbigniewa Szymańskiego imprezy pn. „Laboratoria Młodych”. Nawigując do „złotogronowych” tradycji, jednak ze świadomością nowej sytuacji w sztuce, organizatorzy tej imprezy dążyli do takiej koncepcji wystawy, która

ciążyć dlatego następne, w tym także tegoroczne III Biennale było zagładą i potwierdzeniem współistnienia w niej wielu tendencji. Ale było też — co wydaje się najważniejsze — próbą ogarnięcia sytuacji w sztuce poszukującej, pierwszej tej wielkości od kilku lat i pierwszą po wielkim przełomie w życiu naszego kraju.

— Nowy rozdział w historii nie tylko BWA został otwarty. Jaką rolę odgrywa w nim normalna działalność wystawiennicza, wynikająca z przyjętego przez was programu wystaw?

— Traktujemy ją równorzędnie, choć z coraz większymi klopotami. Z jednej strony Zielenka Górska, która jest w naszym kraju najcenniejszą i najwarte wystawiać, Liczy się tradycja i wspaniałność. Ale brak środków powoduje, że nie zawsze jesteśmy w stanie np. wydać poradnik dla artystów, którym chcemy pomóc, czy przynajmniej do poprawy zasad. Uważamy za sukces fakt, że udało się nam wydać dwa katalogi na nienagorszym papierze, dokumentację I i II BSN. Jak sobie radzą z tymi katalogami, nie wiemy i dokumentować sztukę, która pokazuje? A koszty wydania takiego katalogu wynoszą bez mała tysiąc, ale cały nasz budżet. Próbowaliśmy, ale nie udało się. Tak było np. w przypadku wystawy Stanisława Mazusia z Tych, świętego portrecisty i pelżaczyści, któremu katalogu sfinansowała Funduszu Rozwoju Kultury. Chcieliśmy łączyć się w spółki, które mogłyby wiele rozwiązać. Nie uregulowana jest sprawa przyjmowania walut obcych za sprzedawane dzieła sztuki, co jest naszym dochodem, z których moglibyśmy pokrywać wiele naszych potrzeb. Ja mogę tu otworzyć butik i też sprzedawać, ale chyba nie chcę. Wymagałoby więc nowego uregulowania, gdyż to, co otrzymujemy z Funduszu Rozwoju Kultury wystarcza za zaledwie na pobory dla naszej naprawdę szanowanej osoby. I nie chcemy być jak w Galerii sztuki, gdzie jak np. BWA w Warszawie, która ma oprócz pociągającego nas, jakimś „Stilon”, to jednak nie br. udato nam się zorganizować. W BWA w Warszawie równo w Galerii „Po” jak i na dużej sali. Na przyszły rok mamy wiele interesujących propozycji, m.in. wystawy Beresia i Dudy. W tym roku nie mamy szansy, ale nasze wolontariusze finansowały

— Jaki jest w tym wszystkim udział zielonogórskiego środowiska?

— Proporcjonalnie do sytuacji, w jakiej się ono znajduje. To środowisko po latach ponownie się integruje. Obok istniejącego ZAP, powstaje nowy — ZPAP. Wiele z nich stanął Zygmunt Pranga. Sytuacja materialna tego środowiska jest zróżnicowana. Nie każdego stać, zresztą nie tylko z tych względów, na zrobienie wystawy indywidualnej. Mieliśmy wystawy Jolanty Dzardzickiej, Agaty Buchalik, St. Antosza, Janusza Skiby, Zenona Polusa, Zbigniewa Szymaniaka. Na grudzień zaplanowaliśmy wystawę plastyczną w łódzkiej galerii „Głębokość” w miejscowości Salomon Jesieńskiego. Ale czy dojdzie do skutku, jeszcze nie wiem.

— A co z Plenerem Przyjaźni?
— Impreza ta ma dobre tradycje i dobrze służy przyjaźni między naszymi narodami. Powinien się ostać.

- Dziękuję za rozmowę.



PIES KTÓRY NIE MACHA OGONEM

Od dawna zdumiewa mnie w zwierciadła ich umiędność. Wyzywającą tego, co się zdarzy. Kłódnie, jest jeszcze za rogiem, przed nim kawałek ulicy, korytarz, schody. A psy już mnie o tym informują. Ilekroć wykazują niepokój, mogą spodziewać się czegoś szczególnego. Gdyby ludzie tak umieli, o ile prostsze byłoby ich losy. Ale zamiast wzorować się na przyrodzie, jej logice i porządku, ludzie tworzą szalone systemy, wywołujące konflikty, zawiści, niezgody. Ten ludzki chaos Fredo przemił w świat zwierząt, w swej sztuce „Brytan Brys”.

Zastaliśmy przedwyborczą atmosferę podniecenia. Ujawnili się frakcje. Każdy walczy, jak umnie: Lis chytrością. Kot przyminia. Krowa uległością. Byk siłą, młoda Kłaczka urodą itd. Borak jawi się jako publicysta z ostrym zębem, którym tnie wszystko, jednakże nigdy ponad zakaz cenzury. Swą świąską dewizę przedstawia Świnia. Lisowi w głowie chuda kura „będąca habibą swego pokolenia”. Pudełkowi miętka kanapa. Poglądy więc są różne, jak u ludzi. A Małpa przedstawia wszystkim lusterko: w każdej sytuacji powinno się zachować twarz.

Tymczasem co widza uderza po oczach, to twarz Johna Lennona. Gdy zastanawiam się, co tu robi Lennon, rozpoznaję nagle, że to nie on, tylko Michał Świątina w okularach. Ale — co się tu dzieje? Wśród futerkowych zwierząt, staropolskie kontursy. Tu klapouch, tam szlachciska. Tu Cap, tam biało-czerwona chorąg-

giełka. Na scenie las, bardzo zgrzeszą umowny, na widowni tynk.

Widz chciałby pośmiać się z lisiej kity, malpich min i krygowania się krowy. Ale oto odzywa się wielka trąba: „Gdy okret tonie, a wiatry go przewracają, głupi domoczek i okretki swoje opatrą i sam na nich leżą, a do obrony okretu nie idzie.” Kazanie Skargi!

W programie reżyser zamieścił fragmenty Konstytucji, od Trzaskomskiej do ostatniej z 22 Lipca 1952 r. oraz kawałek Manifestu PKWN. I na zakończenie: „Jeśli spytasz mnie widzu znanowy co do wszystkiego na wspólne go z Brytanem-Brysem Aleksandra hr. Fredy, nie nie odpowiem...”. Szkoda. Bo ja właśnie chciałabym spytać!

Bajda, będąca pomimo wyrażnych podtekstów politycznych, materiałem spieniczym lekkim i przesmiewczym, została obciążona, co przynajmniej sam reżyser w programie „ciężkim bagażem historii”, zawierającym „blechy przeszłości, walkę o władzę i dążenia do wielu wspaniałych wartości. Poeciwiemu Brysiowi założono łańcuch dla stupodowego Byka.

A sam Byk (Andrzej Kietliński), skoro już o nim mowa, po wygłoszeniu sentencji, że „władzę zdobyć można być siłą”, grobie kopytem i mówi po prostu: „nie lubię pieszczoły z tyłu”.

Widownia podczas premiery siedziała uśmiechnięta do aktorów. Język Fredy nie jest już dla nas tak czytelny, jak dla na-

wych dziadków. Aktorzy więc robią co mogą, żeby widzę wyłapać sens. I to im się udaje.

Jak zwykle rozmawia mnie Siawomir Krzywiński (Lis, Osioł) i w jego ręce walizka, znaleziona prawdopodobnie na „Wyssypisku”. Przestraszył mnie Wołk Romanowski jako Wilk, choć nie w więcej, lecz ludzkie skórze z poprzedniego przedstawienia, czyli ni to enkawudysta, ni terrorysta.

Wzruszająca była Świnia (Iwo na Kotzur) gdy po przedstawieniu częstowała wybranych kromkami bułki, posmarowanymi „stąpioną słoniną”. Jack Jackowicz był Pudełkiem takim, jakiego chciałoby się mieć do zabawy i głaskania. Różbita Dominiriska (Lisica-Lania) znów miała okazję, po „Karawanie”, pokazać nieprawdopodobnie długie nogi. Małgorzata Wower (Tęchór) i Aldona Paczkowska (Zajac) zagraly wreszcie rzątką winną, madra i młutkicę. Seksowna, młoda Jolawczka była Tatiana Koldziejczka.

Sigrid Siewler gra Małpę z wielkim poświęceniem, co jej się w pewnym stopniu udaje, ponieważ Małpa dostaje na scenie bananów i żłada go, a na premierze — jak dowcipnie powiedziała Małgorzata Wower — chociaż i Małpa dostała kwintal, ponieważ umi stracił stulekno jej 10 lat w zawoździe, w co trudno uwierzyć.

„Brytan Brys” — scena zbliżenia
Fot. C. LUNIEWICZ

Najbardziej przemawiają podobać bez wyraźnego komizmu, np. tytułowy Brytan-Brys, grany dobitkę kolejno przez różnych aktorów, przez co nie można polapać. Ponieważ postacie i sceny zwierząt także są grane w mniemaniu, domyślam się to alud do nomenklaturalnej karuzeli krad.

Przedstawienie na pewno cechy rozrywkowe, miejscami zabawne i śmieszne. Ale jeśli reżyser wybrał te sztuki, jak się zwierzył — po zdjęciu lachach przyzmierniania się, wolabym zobaczyć „Brysa” zrobionego, z mocniejszą satyrą a ślaską dydaktyką, w ciekawskiej nagrafi i bardziej pomysłowej, nawet dosłownych kostiumów, może z jakąś muzyką i piosenkami?

Brys, choć Brytan i „pies baski”, to tylko pies — jak Surok, Cywil, Bary syn Szarego Włczy, i Huckleburry, tudzież nieśmieszne mieszkanie Korek i Bruno, Cywil i Kłaczka, który w macha ogonem na wszystko.

HALINA ANSKA

Teatr im. L. Kruczkowskiego i Zielonego Górze. Aleksander Freda „Brytan Brys”. Reżyseria: Józef Kozłowski. Scenografia: Barbara Wypyszy. Premiera: październik 1980.



TELEMORELE

Tak oto rodzi nam się nowy typ komunikacji telewizyjnej. Roboczo nazywam go parafialnym. Nie tylko z powodu obecności Kościoła i jego wyznawców, ale głównie z powodu mentalności jego organizatorów.

Otóż ze zdziwieniem zauważyłem, że tak naprawdę zmienił się tylko adresat hymnów pochwalnych. Sam sposób przedstawiania rzeczywistości praktycznie nie uległ zmianie. W epoce szalejących sekretarzy telewizja dusiła się ceremoniałem i etykietą dworską. Często ci sami, co obecnie, dziennikarze, uganiłi się za służbowymi opłami i mercedesami, aby natchnąć dłaś relacje: kto przyjął kogo i w jakiej atmosferze.

Dłż mamno to samo. Liturgia zalewa ekran. Zamiast konkretnych, czyli rzeczowych informacji, serwuje się mdłą papkę rodem z polityczno-towarzystwiej rodzinnej kroniki. Na glu pie pytania, padają równie głupe odpowiedzi. W cniej tej zabawie chodzi widnie nie o treść komunikatu, ale o jego bohaterów.

Wysoka fala gadaniny pseudopublicystycznej przekroczyła ramy „Wiadomości”. Nio dysponenci informacji cierpią widnie na identyczne

NOWI PROMINENCI

schorzenie intelektualne, o ich poprzednicy z czasów monopartii. Wierzą bowiem, że perswazja słowną można kreować, że można gadają i gadać o białych płamach, reformie, o bidazupkach, o uwłaszczeniu nomenklatury, o finansach partii, o polityce, polityce, polityce.

Zapomnieli przy tym, że istotą telewizji jest ruch. Szklany ekran nie znosi na dłuższą metę statycznych, gadających głów. Po kilku dniach takiej wielogodzinnej porcji znużenia, reakcja jest prosta — odbiornik działa, ale tylko dla siebie.

Oczywiście, naiwnością pachnie pogląd, domagający się od telewizji całkowitej apolityczności. Nawet na najbardziej konserwatywne stacje telewizyjne pilnie przestrzegają pewnego modelu informowania. Modelu, który odpowiada poglądom mocołdawców. Ale tam, na zgnitnym Zachodzie, robi się to całkiem inaczej. Tak, aby telewizja nawet nie zauważyła, że jakies treści ideologiczne czy tylko polityczne wypycha mu się do głowy.

Do tego celu służą znakomicie zorganizowane widowiska rozrywkowe, oszalałające

swoim rozmachem programy popularno-naukowe oraz kosztowne w realizacji, ale nie słychanie atrakcyjne w odbiorze reportaży całego świata.

Świat już dawno zrozumiał pewną banalną prawdę. Aby kogoś przekonać, trzeba na pierw zachęcić go do słuchania i oglądania. Nasza telewizja i wczoraj i dziś z uporem mniłką postępuje wręcz odwrotnie. Nuda!

W ponurym świetle widzę szanse naszej lewicy na stanie się czymś atrakcyjnym. Każda organizacja czy partycja, ledwie znajdzie 20 członków, a już żąda czasu antenowego, to w porze największej oglądalności. Bieda! Lewica, bojąc się oskarżeń o blokowanie piramizmu politycznego, zezwala na radosną twórczość różnych rzeczników prasowych. O zaś najeższej bełkotacz co pod nosiem, z zdumieniem odkrywając niechęć widzów do ich sepienlających głosów.

Telewizja przysłuchiwa się mi jako program podzielony na oienka. Obok Solidarności i Kościoła dojdzie do głosu OPZZ, KPP, PPS, trzy lub cztery PSL-y, Ruch Polityki Realnej, Anarchiści, a na dobranoc, zamiast Kozła, Donalda, autorski program monarchów polskich.

A im gorzej będzie w sklepach, tym więcej oświadczeń politycznych w telewizji. Aż przędzie wielkie bum i znów ekran rozkwitnie leni. Problem tylko w tym, kto wówczas wyłoży poranne przemówienie: generał czy kapral?

PIOTR MAKSYMIAK

Po dłuższym wyczekiwaniu, w sam dzień wigilijny, pocąg ruszył w nieznaną. Wszyscy klękli, myśli pobięły do maszyn, najbliższych w zrużnicu skupionych wokół stołu wigilijnego, z niewysłowionym bólem myślącym o nas, ani się domyślającym co się z nami dzieje. Rozpoczęło się życie w wagonie, o zapalenie którego do granic możliwości postarała się władza radziecka. Wagon przedzielony był poziomo. Na „piętrze” z możliwości kami spogładania przez zadrurowane okienko ułożyli się pospolici bandzi, różnego rodzaju przestępcy, zbrodniarze, wrogi polski społeczeństwu, z wzorem carskiej Rosji spiesznie z więźniami politycznymi, za jakich mieliśmy się prawo uważać.

że bandziolorów, ale zawsze swoich.
Droga z niezbyt częstymi postoi-
kami zaczęła się piekielnie wydłuża-
ć, tym bardziej, że dawał się we
znaki, z każdym dniem zwiększa-
jący się głód i chłód. Dostarczane
jedzenie było niewystarczające
(niezbyt pożywne, tyle, że ciepła
mąka i kawałek chleba), nie mów-
iąc o rosnącym zimnie, którego
smródzący pływ nie był w stanie
złagodzić.

[illegible]

WŁADYSŁAW KORCZ

Jak po kilku dniach zorjentowa-
liamy się, zabudowania łagrowe
składały się z kilku podłużnych
budynków, w których mieszkało
co najmniej na dwadzieścia kilka
metrów łabami, po obu stronach
ścian zabudowanych pryzmami pie-
karnymi, cięgniarni, czy niepalen-
nicami. Wzdłuż ścian, na podłok
biegła droga, która dochodziła do
do wyznaczonych miejsc. Przez ca-
łą noc świeciło się dość ostre świat-
ło, które było widoczne z każdego
jednego przez drugie, leżeli wznio-
wio, gdy nadchodzili ci nowi. Je-
żeli ktoś z leżących chciał się o-
czyszczać, mógł po prostu wyjść
i wrócić się musieli wyszły.
Jak wyglądał wy poczynić w ta-
kim stołecznym, chyba zbiteczne
mieście, opasywanym murami nie-
wzmiernie o nas, w tym czasie, nie-
doświadczeni towarzyszy naszego
wzrostu wielebnego. Baraki były
maksymalnie zapluskowane, ale i
czyste, nie było tam żadnych przed-
miotów. Jedynym plusem baraków
było, że nie było w nich zimno
i można się było do nich rozebrać,
przekrywając się urzędowym ko-
szem.

Poza dwoma lub trzema barakami, na centralnym placu stał budynek stołowy, do której brygada mi chodziło się na zupę, rano i wieczorem, drugi raz z chlebem (80 dkg). Zupa składała się z kilku listków kapusty, a jej cała wartość odżywcza kończyła się na ciepłej, nawet gorącej wodzie. Żadnym obładem nikt nie zawracał sobie głowy.

Wspomniałem wyżej, że chodzący do pracy (o niej za chwilę) o-

ROGA Z ŁAGRY

Po zakwaterowaniu nas w barakach, stworzono brygady pracy, z których każda liczyła około 20 ludzi. Na czele każdej stał brygadier odpowiedzialny za wykonywaną przez jego ludzi pracę. Sam, oczywiście, nie pracował. Właściwie, zbytekne dawać, że brygadierzy byli wyjątkami. Nie. Przez cały czas pobytu w tym przekłętym kraju, ani razu nie spotkałem brygadierów innej narodowości. Znalazłem się w brygadzie pracującej w tzw. „cech fermie”. Było to przedsiębiorstwo, jeśli tak w ogóle można nazwać kilkadziesiąt maszyn – heblarek, różnego rodzaju piln, obrabiarek i innych narzędzi – i dwóch pod dachem jednego baraku.

Barak ten stał od lagru około 2 km, które codziennie przemierzaliśmy tam i z powrotem pod Argusowym okiem strażnika, stale i niezmiennie zapowiadającego po rosyjsku, że „krok w lewo lub krok w prawo, a strzela się bez uprzedzenia”, co trzeba było potwierdzić chóralnym i możliwie gromkim głosem „poniatno” (zrozumiano).

Do pracy szliśmy wzdłuż brzegu wielkiej rzeki, jak miałem okazję stwierdzić w lokalu „K-Wę-Cze”, oglądając mapę Kamy, największego dopływu Wołgi. Łągiel zaś usytuowany był na przedmiocie miasta zwanego wówczas Molotow, a lepiej znanego polskim zesłańcom XIX wieku jako Perm, leżące w głębi europejskiej części Rosji, na podurskiej nizinie,

Pracę rozpoczęliśmy od podparcia walącego się baraku. Trzeba było wykopać kilkanaście solidnych fundamentów, które w przeszłości służyły ludziom z nadwołnową ścianą budynku. Barak był uratowany, można było wejść do środka i rozpocząć prace. W tym czasie, w pogodzie, która nie sprzyjała logistycznie pracy — nikt przecież nie przestrzegał 8-mio godzinowego czasu pracy — w naszym obozie wystrząsnęły, o rozmiarach ok. 60x40 cm oraz rułony składające się z dwóch jednakowych części (połowa była z blachy, druga z metalu), które miały być na amunicję, rułony zaś na pociski armatnie. Wszystkie maszyny były "trofienie" (zdołano je wystrzelić z armat). Wtedy też było sprawdzicień czytać firmy niemieckie na etykietach metalowych przedmiotów, które odpowiadają naszym miejscach. W tym czasie, kiedy przed nami stała tak wielka dziurza przed barakami stała wielo różnych rodzajów maszyn, niszczących i budujących, w tym samym nadkamiś powietrzu.

[illegible][illegible]

(c.d.n.)

Widziałem go nigdy. Za kim nie wiem, jak wygląda. Mówię, że jest niezbyt przyzwoicie i bardzo szczupły. Głównie wychodził z piwnicy na dół. Gdzie się myje — trudno powiedzieć. Ostatnio nie spotykał się z nikim.

W domu — zapewne minął go jak każdego innego niepożądanego. Bez owego intruzjańskiego spojrzenia w oczy, które w mój mój, niż dziesiątki słów... — to trochę, o nim wiem, że pozostał mi w spokoju... Chodziłem tymi samymi, co on, w Zakamarkach, Schodach, Zakamarkach. Szczególnie upodobał sobie meble. Zwyczajnie piwnice było ciemno, a on — przegrywał w osiedlowych. Pragnie być z ludźmi. Jakby pośród ko-

zako burzył zakłamania? Jako twórca nowego ludu. Musiał taki moment w nim zaistnieć znaczenie, nie wiedział, niż dla tego wyraz w ostatnim liście... Póki co — kierował jednak prawie tysiącem pracowników.

Gdy wszyscy już poznali, że do studzenia, mechanizmu biurokracji, on wystąpił przeciw naduciom, skorpumpowaniu, mafii. Nienawidził cwanitaw... Albo wyznał to i ten, że, kiedy każdy wie, czym był rok 1980, "Solidarność" i stan wojenny. Czy bez tych zdarzeń myślałby dziś tak samo? Przecież wtedy, jako naczelny dyrektor, kierował powierzoną mu spółdzielnią. Był w niej, niewątpliwie również we własnych oczach, Alfa i Omega. Uczeń stniczy w naradach, planach,

"Zachodu..." Spostreżli jednak, że ze mną nie można nie wchodzić. Dlatego im przeszkadzałem. W konsekwencji znalazłem się na bruku. Musiałem opuścić Z. Moją kalem pracy. Zostałem znów dyrektorem naczelnym, lecz innego przedsiębiorstwa na drugim krańcu Polski. Stało się tak, że tuż przed stanem wojennym wyjechałem z kraju. W świecie poznałem, czym jest poniżanie człowieka. Był to dla mnie wstrząsający przeżycie. Zaprzagnąłem wówczas wskazać ludziom kierunek życia z nędzą.

W liście czytałem — Ludzie biedni stają się takimi dużymi, nie wiedzą o swoim ubóstwie. Aby się temu sprzeciwić, należy tworzyć ciekawe informacje. Wszędzie. Cały świat powinien

dyrektorskiego splendoru? Służbo dydy? dywiden? Kierowcy wysłuchują jego z fałszywym zachowaniem — zannych opowieści? A może d'a'ego, że tam trzeba było po prostu pracować? Może zawałło się nieugruntowana wieża fałszowa w zetknięciu z nowoczesną praktyką? Albo co gorzej — ów "palec Boży" zaczął silniej ścisnąć pewne sploty w mózgu.

Powrócił więc. Z listu wynika, iż podróżował sporo. Obrazy z Kanady są jednak jakby niekonkretnie. Niemal abstrakcyjne. Nie znajduje się w nich żadnego wzruszenia, jakiejś tęsknoty za krainą pachnącą żywicią, o czym tak ujmująco pisał Fiedler. Powstała nawet podejrzenie, czy tam na prawdę był. Doświadczenia, praca, życie w dalekim świecie przeżył w cień. Przeszły się liczyć w jego argumentacji. Natomiast pozostała wizja uratowania ludzi kosztu od nędzy.

Po powrocie do kraju nie zastał ani własnego domu, ani żyłowości w rodzinie. To również nie miało znaczenia. Wszyscy przecież zdążyli „do domu Ojca” — napisał, i z własnego w boru postanowił tam dojść szybko, niż inni. Zaczął się spłacać. Stworzył więc manifest pełen prawdziwych uogólnień i wymowy. Opisał egzystencję Portugalczyka, Cejlonczyka, Kreola i wszystkich mieszkańców Ziemi. Manifest o uratowaniu nas z nędzy, niby Możliweżowe Kamienne Tablice rzucił w ludzkość ze swej transcendentalnej wysokości. Posłannictwo to uwierzygnął swoim odcieniem od ludzi. Polubił piwnice osiedlowych bloków.

LOS EDWARDA M.

ROMAN FLORKOWSKI

ani ludzkie losów. Zdaże mu się, że pisał te losy lepiej niż

W swoim ostatnim liście wspomniał o dziecinach. Liczną rodzinę przetrwała się z nędzą w jednej wiosce nad Nysą. Był dzieciną powojennych konkretów — zdobywcą, jak ich zwie, ludzie przyjechali „na Zachód” na Baga. Bez żadnego dobytku. I majątek, to były, co to tobo — w sercach. Kiedy wysiadł z złoconego pociągu gdzieś nad Gubina, witali ich księżdz i dwaj Wojska Polskiego. Zespołem dla tej ludzkiej ciżby był miśnawy chleb i pieśń „Serdce matki”. W jej brzmieniu były zawsze włodziemierska kraw. Edward M. przejechał północą świata. Nie było mu śladu dane być tam, gdzie się wozili. W Adamowie nad Pryw-

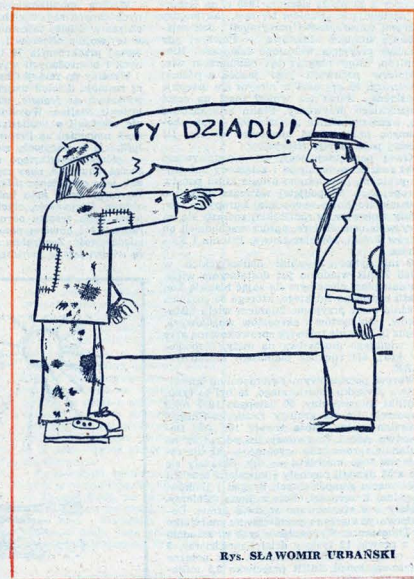
egzekutywach zwolnionych w „Białym domu”. Podawał tam, jak teraz napisał — zakładane dane o rozwoju budownictwa z Z. Nie stanął wtedy za mównicą, by zawałło — klanstwowi Nie za protestował. Właściwie strzy, a on długie lata jeździł służbowym samochodem po różnych miejscach województwa i zapewne wtedy kierować opowieściom o odpowiedzialności, randze, jaka mu przypadła. Dotarłem do tego kierowcy... Nie chciał jednak mówić. — Nie warto. Wszystko minęło. Milczą także dawni znajomi Edwarda M. — Po co komu stare strasy. A więc strasy były? — Pewnie, że były.

Właśnie kierowcy służbowych aut najlepiej znają tajemnice swych przynajmów. Lubiących wypić. Wracających późno do domu. Zatrudniających żony i dzieci banialukami o roli, jaką pełnią. Bataliony takich dyrektorów, zadufanych w pełnione przez siebie funkcje, tworzyły okres gomułkowski i gierkowski. Błada zwykłem kierownikowi czy inżynierowi na delegacji, gdy z dyrektorem — bufołem zasiadał do restauracyjnego stolika. Musiał się kłaniać. Udawać, że jest bardziej zalany niż jego przynajm. Czuył z siebie przysługę, by zyskać przychylność... Wszakże w ostatnim liście Edwarda M. podobnych aluzji nie ma. Szkoda. Życie za dyrektorskim biurkiem nie traciło wtedy barwności. Miało i dalej ma takie między innymi sekrety.

W liście odsłaniając natomiast niepokojący, świadujący ton megalomani Edwarda M. Ja ich ostrzegalem. I mówiłem. Ja wiedziałem. I tylko z tego powodu zostałem zniszczony. Mafia wyrzuciła mnie ze spółdzielni. Kilka budowała domy rodzinne po obniżonych kosztorysowych cenach. Stawiała prywatne domy za spółdzielcze pieniądze. Na budownictwo szły najlepsze materiały i moce przerobowe. A później powoływano komisje do określania usterek. Sztucznie obniżano wartość wykonanych robót. Ze niby mury niewłaściwie. Wykonawstwo partackie. Stałem się świadkiem matactwa przy nikiących młoj firmie. Próbowano i mnie przyciągnąć do kilku mirażami legalności, bogactwa,

być objęty powszechną informacją... Taka jest konkluzja tego obszernego listu. Nie jest łatwo przejść nad nią do porządku. Czyżby człowiek biedny naprawdę nie wiedział, że jest nędzarzem? Czy bogacz nie ma rozważań, jaką dysponuje fortuną?

Wyjazd Edwarda M. na Zachód nie doprowadził go do Eldorado. Nie polubił on Francji, RFN-u, Ameryki i Kanady. Nie wiadomo, jaka była tego wyraźna przyczyna. Nie miało się po prostu



Rys. SŁAWOMIR URBANŚKI

W dniu 23 grudnia 1939 roku Führer III Rzeszy Adolf Hitler wystosował telegram do Józefa Stalina: „W dniu pańskiego 60-lecia proszę o przyjęcie moich najszerszych pozdrowień. Dołączam do nich również moje najcieplejsze życzenia: żyćcie dobrego zdrowia Państwu, rodzinie, jak również szczęśliwej przyszłości narodom zaprzyjaźnionego Związku Radzieckiego”.

Minister spraw zagranicznych Rzeszy Joachim von Ribbentrop w swojej depeszy gratulacyjnej, skierowanej do przywódcy ZSRR stwierdzał: „Przebiegająca krewią przysięgą narodów Niemiec i Związku Radzieckiego ma wszystkie podstawy do tego, by być mocną i długotrwałą”. Chodziło oczywiście o krew przelaną wspólnie w walce z żołnierzami polskimi, broniącymi niepodległości i niepodległości swej napaśniętej ojczyzny.

W dalszym ciągu wspomnianego telegramu Ribbentrop wspominał „historyczne momenty

Naród fiński w obronie swej wolności i nie podległości wystawił 400-tysięczną armię, skła daną się zarówno z regularnych jednostek jak i z popołittowego ruszenia.

Uderzenie radzieckie nastąpiło 30 listopada 1939 roku na całej długości granicy pomiędzy ZSRR a Finlandią, a ze szczególną mocą na obszarze silnie ufortyfikowanego Przesmyku Karelskiego. Dzień ten poprzedzony został szeregiem incydentów granicznych, które strona radziecka starała się w swej propagandzie przedstawiać jako spowodowane przez Finów, chociaż w rzeczywistości dokonywane były przez jednostki służby granicznej ZSRR. Również same wydarzenia 30 listopada prezentowane w swoich pamiętnikach stwierdził wyraźnie, że 30 listopada 1939 r. znajdował się właśnie na Kremlu, kiedy to Stalin powiedział: — „A więc dzisiaj zaczynamy”. Chruszczow opowiada dalej:

...tow, który przez tyle lat piastował stanowisko łudowego komisarza obrony. Ale w zadowalał sobie sprawę, że oczywiście nie ko on jeden.

Pamiętam, jak pewnego razu Stalin wsiadł — podczas jednego z obiadów na dachy — ostro krytykował Woroszyłowa, że się poniekąd nerwowo, co nie było złe w jego zwycięzcy. Woroszyłowa także strasznie zirytował, pocierając na twarzy i krzyknął do Stalina: „Jest sam ten temat”. To ty przecież wypiekałeś wojskowe kary, Stalin ostro zareplikował, a wtedy Woroszyłow stracił zupełnie panowanie nad sobą, od cił półmisek, na którym stała pieczonka mięsa i rwał nim o podłogę. Pierwszy i jedyny w życiu byłam świadkiem takiej sceny.

Krytyka Woroszyłowa skończyła się tym, że został on zwolniony ze swojej funkcji. Na go miejsce przyszedł Timoszenko. Wom toż jednak przez długi czas stał się dla lina przysłowiowym „chłopcem do bicia”.

„Nasza flota morska — wspomina dalej Chruszczow — działała przeciwko fińskiej marce wojennej. Zdarzało się, że jeśli zamek sił na morzu był tak bardzo na korzyść, to powinniśmy odnosić tam zwycięstwa. Jednak tak się absolutnie nie to. Nasza flota działała bardzo nieudolnie. miętami taki przypadek: nasza łódź podła na strasie się zatopić, fiński okręt, który jej nie udało. Niemcy to obserwowali i nie, aby wsadzić nam szpile, zapalili przy swego ataku wojskowego: — Dlaczego ty was tak się dajesz? Nie potrafiliś wyzwać zatopić nieprzyjacielskiego okrętu? Nie potrzebujesz pomocy?”

Możecie sobie wyobrazić: przyszły wróg i i tak nas ocenia. Uważa, że nie ma zrealizować nawet elementarnego boju zadania i dlatego chce nam to tym Hitler pokazywać nam to ten sposób, że w nie zdaje sobie sprawę z naszej bezsilności. Pa nęł, byśmy samo do tego się przyczynili i p jeli jego pomoc.

Jednym słowem, wojna fińska uzmogła do nasze troski i obawy. Przybłądała nie zwyciężycielskość naszej armii. Jeśli nie my sobie dać rady z Finami, to jak wytramy starcie z przyszłym potencjalnym w gniem tykoloritnie przecieć od Finów szaszym?”

W ten sposób przebieg wojny radzieckiej ujawnił wszystkie nasze słabości, nie mętności należęcego przewidywania dów wojennych. My przecież wybrałismy tam miejsce rozpoczęcia tych działań, skoncentrowaliśmy tam tyle wojsk, rozciąśliśmy potę sły, a mimo to wojna z tym małym kraj trwała ponad 100 dni i kosztowała nas ofiar. Zakochaliśmy się on uprzedzić nasz formalnym zwycięstwem, ale pokazała nam zwycięstwo słabość, nie mówiąc już o ty że stała się dla nas wielką moralną porażką. Kraj oczywiście o tym usłyszał i nie ufał. Ze wszystkich głosiłki radiowej, tylko triumfalne pieśni: „niech grzmiały ty zwyciężyciel...”

(dokonanie na następnym numerze)

NIECHŁUBNA WOJNA

MICHAŁ HOROWICZ

na Kremlu, które zapoczątkowały decydujący zwrot w stosunkach pomiędzy obu naszymi wielkimi narodami i przez to stworzyły podstawę do długotrwałej pomiędzy nimi przyjaźni”.

Warto przy tej okazji nadmienić, że tenże Ribbentrop po powrocie z Moskwy określił w rozmowie z Hitlerem atmosferę panującą w nocy z 22 na 23 sierpnia 1939 r. na Kremlu następująco: „Czułem się tam, jak między starymi towarzyszącymi partyzantami”. Jak relacjonuje tłumacz Molotowa — Pawłow, gdy podczas przyjęcia wniesiono szampana, Ribbentrop, który nigdy był handlarzem win, najpierw pochwalił jego jakość, a później stwierdził, że krymki w niższym nie ustępuje reńskiemu. Zaraz też wniósł toast na cześć radzieckiego przywódcy. Stalin zrewanżował się, wznosząc kieliż, „za zdrowie — tak ukochanego przez naród niemiecki Führera III Rzeszy pana Adolfa Hitlera”.

Owej pamiętnej nocy, gdy podpisywano pakt radziecko-niemiecki i zalazony dotąd tajny protokół, przesadzono o losie kilku państw europejskich. W podjętej wówczas decyzji o podziale środkowo-wschodniej Europy na tzw. strefy wpływów, w radzieckiej znalazły się, za przyzwoleniem Hitlera, oprócz wschodnich obszarów Polski, również Łotwa, Estonia i Finlandia.

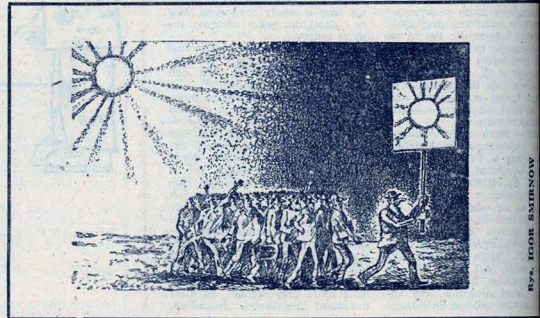
O inkorporacji republik nadbałtyckich w skład ZSRR wiadomo już dostatecznie wiele. Tu natomiast chciałbym się zająć historią konfliktu radziecko-fińskiego, którego 50 rocznica właśnie teraz przypada. Zdanien wielu historyków, publicystów i ekspertów wojskowych, wojna ta była nie tylko nie spowodowana agresją wielkiego mocarstwa na mały, niepodległy kraj, ale również błamałem militarnym ZSRR.

Wbrew początkowym twierdzeniom kierownictwa Związku Radzieckiego, że był to tylko konflikt incydentalny, 30 listopada 1939 roku rozpoczęła się na granicy radziecko-fińskiej formalna wojna, która trwała 100 dni. Dowództwo Armii Czerwonej dla uderzenia na Finlandię zgromadziło ogromne — jak dla rozmiarów tego konfliktu — siły. Składały się one z 32 dywizji piechoty i kawalerii oraz kilkunastu samodzielnych brygad i pułków, o ogólnej liczebności około miliona żołnierzy. Zostały one sformowane w dwie armie. Dowództwo powierzono późniejszemu marszałkowi Timoszenko. Wyposażenie tych sił składało się z prawie 12 tysięcy dział i moździerzy, 3 tys. czołgów i 3250 samolotów. Tak potężne siły zaangażował ZSRR przeciwko 3,5 milionowej Finlandii!

„Nagle zadzwonił informując, że oddaliśmy na granicy pierwszą salwę. Finowie odpowiedzieli ogniem. Rozpoczęła się wojna. Byliśmy przekonani, że... zakończy się szybko naszym zwycięstwem i przy minimalnych dla nas stratach. Właśnie wtedy, ale poległo tam naszych żołnierzy o wiele, o wiele więcej, aniżeli przewidywaliśmy”.

Według opublikowanych niedawno oficjalnych danych radzieckich — trzymany dotychczas w ścisłej tajemnicy — liczba zabitych w tej wojnie oficerów i żołnierzy Armii Czerwonej przekroczyła 70 tysięcy, a liczba rannych i odmożonych wyniosła 176 tysięcy.

Wróćmy do relacji Chruszczowa: „W miarę rozwoju działań wojennych i naszych niepowodzeń na froncie, wzmagano się niezadowolone Stalina. Wojskowi tłumaczyli się, że nie wiedzieli o wznieśnięciu przez Finów silnych umocnień na Przesmyku Karelskim. Frytykacje te nazwały się linia Mannerheima — głównodowodzącego armią fińską. Stalin zaczął obwiniać nasz wywiad. Głównie jednak jego oskarżenia skierowały się przeciwko Woroszyłowi jako łudowemu komisarzowi obrony. Oczywiście, obwiniać za porażki wojenne szefa resortu obrony jest rzeczą naturalną. Któż bowiem ponosi tu większą odpowiedzialność. Zgadzałem się więc ze Stalinem, że winien jest to pierwszemu rządzie Woroszy-



Drż druga część sportowej zabawy. Przypomnijmy, że po meczu „na piez”², rozegranym na łorach żużlowych, w rywalizacji Górzów – Zielona Góra był remis 1:1. Teraz przenosimy się na boiska piłkarskie. Żużel cieszy się ogromnym zainteresowaniem kibiców na Ziemi lubuskiej, ale nie mniej popularna jest piłka nożna. „Czarny sport”³ grawiować mogą wszak tylko nieliczni, zaś piłkę nożną można kopać na łądym wolnym placu, w najmniejszych nawet miejscowościach.

Tradycje futbolu na Ziemi Lubuskiej są tak długie, jak długo my tu jesteśmy. Przed wojną sport (a zwłaszcza właśnie piłka nożna) był ważną dziedziną życia Polaków, zamieszkujących tę ziemię. Na boisku Polacy często wygrywa-
li z drużynami niemieckimi, co przekreślało serca ludności Nowego Kramska czy Dąbrówki. Na-
dług przed 1939 r. w piłkę grano
w klubach sportowych Miedzychów

obu województw w najwyższych klasach rozgrywkowych.

W ekstraklasie piłkarskiej zadani z obu okregów druzyny, oczywiscie, nie posiada, choc przed sezonem nie bylo wiadomosci o przeniesieniu Gorzowa, zwlaszcza po sensacyjnym zwyciestwie w Szczecinie nad Pogonia 4:3. W II lidze gozcie z Gorzowa sa znowy w czołówce, dziesieczu lat (z przerwą na jeden sezon) i trzeba przyznac, ze w Siloniu w tym czasie wypracowano bardzo pozytywny przyklad, ze to, ze mimo powszechnie sredniej wielkosci sport utrzymywany na wysokim poziomie przez odpowiedniej wspolpracy z przedsiobiorcami, ktore nie tylko nie wycofali swolne, opalacze i zalnosci gospodarczej. Tegocrozni sezon potwizdzi, ze w druzynie z Gorzowa Silonia jest wiele mozliwosci (pewne zwyciestwo nad liderem II lidy Hutnikiem Krakow na zakonczenie rundy nie jest wykluczone). Wzrosty nie jest, nie, powinno byc gorzej.

W tym momencie w naszym me-
cie przewagę uzyskał Gorzów. Do-
grę wchodzi drużyny III ligi. W
tej klasie wojewódznych gorzows-
kie ma trzy zespoły (Czerłozna Ko-
ścielna, Złoty Stok, Złoty Stok i
SIRH Wojciejszyce), a zielonogór-
skie dwa (Działek Nowa Sól i Le-
kia Zielona Góra). Nie spisuja-
my się w niej relacyjnie. Po rundzie
półfinałowej, która przebiegała
się Działek, który nie stracił je-
dynego punktu, zdobył pierwsze
miejsce, choć kandydaci do awansu to
mocni rywale (Chemik Police,
Warta Poznań, Ostrovia). A kibice
z Zielonej Góry nie mogą się po-
dzielić z radością. W III lidze z
pewnością za nim tęsknią...
W sumie jednak, mimo liczebnej
przewagi drużyn gorzowskich w
III lidze, dzięki postawie Działek
i, dzięki zielonogórskim niewiele
się, to za klasę rozgrywek ro-
zuś.

Do pułnacji wliczamy także se-
dziów szczebla centralnego. Przed
laty w tej dziedzinie prym wiodł
niekiedy Józef, wspaniały zwiolow-
nik, który w 1970 roku, nie prze-
nie sekundował mu kierujący ó-
wobnie żarskim sportem Franciszek
Migas. Później na krótko na boi-
skach II ligi pojawili się Stanisław
Kozłowski, Swiętosław Zajączko
i Tomasz Wójcik. Zauważmy, że
okrepi posiadają sędziów z upraw-
nieniami do prowadzenia meczów
I ligi. Są to Sławomir Redziński
(Nowa Sól) i Jacek Kozłowski (Go-
rów Śląskich), pod koniec 1990
roku razdziej występowały na kra-
jowych boiskach (na najwyższym
szczeblu i wśród arbitrów rywaliz-
ujących obecnie ogromną), ale są
już nie tak dobrymi sędziami. Za-
tem już remis.

W meczu, który prosimy potra-
kować z przyzwyczajeniem oka, bo
rozgrywamy go na papierowym
boisku, w niemal wszystkich dzie-
dzinach remis. O wszystkim roz-
strzygnęli zatem piłkarze Stilonu,
będącego lubuskim „Jedynakiem”
w II lidze. Wynik końcowy — 1:0
dla Gorzowa.

Po zawodach żużlowych i piłkarskich w naszej rywalizacji Gorzów — Zielona Góra, na prowadzenie województwo gorzowskie 2:1. A może nasi czytelnicy — kibice sportowi mają inne zdanie lub własne spostrzeżenia? Prosimy o listy.

KRZYSZTOF HOŁYŃSKI

poczta

**O „Nadodrzcu”
jako tygodniku**

Szanowny Panie Redaktorze

Z radością powitałem pierwszy numer „Nadodrza” jako tygodnika. Z faktem tym wiąże — myślę, że nie będę w tym odosobniony — wiele nadziei na przyszłość. Pragmatycznie widzę, na łamach tygodnika artykuły, które byłyby obciążeniem naszej skłópkowanej rzeczywistości i przynosiły czytelnikom wiele nadziei na przyszłość. W tym m.in. leży tak bardzo potrzebna pisemu więz z czytelnikami. Życzę redakcji, aby przez swoją pracę mogła też więz rozbudować i uczynić pisu własnością nas wszystkich.

Już jednak pierwszy numer nasuwa nieco krytycznych uwag. Nie wydaje mi się (choć rozumiejąc intencje redakcji), aby było aż tak bardzo potrzebne rozbudowanie wywiadów do takich rozmiarów jak to ma miejsce w pierwszym numerze. Czasem można powiedzieć więcej w krótkim artykule lub krótkim wywiadzie.

Nie mogą również zadowolić rozrywki umysłowe. Nazbyt są skromne. Proponuję redagowanie kącika szachowego, może też brydżowe. Jestem przekonany, że specjaliści poddadzą krytyce szatę graficzną. Czy nie może ona być – nawet w ramach tych możliwości, którymi dysponuje redakcja – trochę atrakcyjniejsza, bardziej przyciągająca?

Mimo tych kilku uwag, które nie brzmią entuzjastycznie, życzę piśmu pomyślnego rozwoju i uwzględnienia już w niedługim czasie tak ważnej 45 rocznicy naszego powrotu na Ziemię Nadodrzańskie i Nadbałtyckie. Historia bowiem naszych ziem winna być ważną częścią tygodnika, kształtując świadomość historyczną i patriotyczną czytelników.

Z poważaniem
Władysław Korcz

× × ×

Przepraszam, ale aktorka scen warszawskich, Ewa Kunina, urodziła się w 1896 roku, a nie jak pomyłkowo podano w 1989. Domyślałem się, że choćlik złośliwy też chciał być zauważony w nowej szacie naszego „Nadodrza”. Swoją drogą, cieszę się, że gazeta będzie tygodnikiem. Łączę pozdrowienia, życząc wielu, wielu czytelników.

Henryk Lubieniecki
Zielona Góra



To tylko sport

Czytam wszystko, co mogę kupić, żeby poczytać o żużlu. Od pewnego czasu z zainteresowaniem czytam w „Nadodru” artykuły o żużlu, pisane przez red. K. Hołyńskiego. W ogóle brakuje, poza sprawozdaniami z zawodów, pogłębionych wiadomości o „czarnym sporcie”. Bardzo potrzebny był kibicom artykuł o losach byłego żużlowca „Falubazu” Henryka Olszaka. Szkoda, że tak smutno się kończy. Zgadzałam się z red. Hołyńskim, że Olszak był wielkim talentem.

Na pewno nie w smak niektórym pseudo-kibicom był artykuł o kibicach na zawodach żużlowych w Zielonej Górze. Red. Hołyński poruszył ważną sprawę. Sam od kilkunastu lat kibicuję „Falubazowi”. Przyznam się, że bardzo mi zależy na sukcesach mojego klubu, a niektóre mecze przeżywałam bardzo mocno. Nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego osławiona grupka „szalkowców” z sektora koło parkingu zachowywać się tak fatalnie i szowinistycznie. Przecież to przynosi Zielonej Górze wielki wstyd, a nawet kompromitację. Tak jak ja myślę większość na widowni, ale dobre zachowanie większości nie wiele znaczy, gdy wszystko psują pseudo-kibice. Może ta sprawa powinna energicznie zgłaszać się organizatorzy zawodów? Chciałbym, żeby w nowym sezonie żużlowym sympatycy na stadionie „Falubazu” przy ul. Wrocławskiej.

Jerzy Nowicki
Zielona Góra

Sceny miłosne w literaturze pięknej

Redakcja „Nadodru”

Dziaczego nie ma „scen miłosnych” w „Nadodru”? W nowym tygodniku zabrakło mi tego rodzaju literatury. A „Nadodru” czytam od dawna. W telefonicznej rozmowie z redakcją poinformowano mnie, że „niektórzy czytelnicy wyrażają się o „scenach” negatywnie”. Wniosek jest taki: że czytają i mają za złe, więc dla czego czytają? Ja mam jedną rację, kogo to razi, niech nie czyta i nie może zrozumieć tych ludzi, którzy chcą narzucać cenzurę społeczeństwu co powinno czytać. Dlatego piszę, bo nie chce, aby mnie, dorosłemu, dyktowano co mam czytać i oglądać. Przypomniał mi się audycja w telewizji p. Drodzy „Sejście”. Ilo było telefonów. I co się stało? Pamiętam, co zdarzyło się w Anglii, gdzie cenzura zabroniła wyświetlać filmy z tzw. „momentami”. Odpowiedzi była jedna: Żadna komedia nie będzie nam, dorosłym, zabraniana, co mamy czytać i oglądać. Myślę, że większa część społeczeństwa jest za wolnością słowa i obrazu. Nie dajmy się „zanudzić” — St. K.

Z poważaniem — St. K.
Zielona Góra
(linię i nazwisko do wiadomości redakcji)

W opłaci kryminalistów nie ma zbrodni doskonałych. Co najwyżej, z różnych powodów, trudno ujawnić ich sprawców. Wiadomo, że mordercę postawi się przed sądem, trzeba go wpiąć złać i udowodnić mu zabójstwo dowodami nie budzącymi żadnych wątpliwości. Ba, schwytać i udowodnić...

Niestety, są przypadki nie wykrycia sprawcy czy sprawców morderstwa mimo natychmiastowych poszukiwań przez dziesiątki funkcjonariuszy MO i drobiazgowo prowadzonego śledstwa.

Swego czasu głośno było o tych zabójstwach. Przypomnijmy trzy z nich. Miały one miejsce w różnym czasie, dwa w Zielonej Górze i jedno w jej okolicy.

ZABÓJSTWO W POLU

Robiło się już zaro. Szybko za padali ciemny wieczór. Nisko wiśnie chmury zapowiadały ulewny deszcz. Ze sklepu w Świdnicy wyszła kobieta prowadząc za rączką małą, kilkunastu letnią dziewczynkę. Droga asfaltową do domu pniała. Szła, jest prawie dwa kilometry. Natomiast dróżką, przez pola, znacznie bliżej. Mimo szty

ko zapadających ciemności, Lucyna S. wybrała dróżkę.

Bliisko już domu, z przydrożnych krzaków wyszedł jakiś mężczyzna. Kiedyś, jak mówi, „nie mógł uderzyć on czynnikiem do biegu w głąb. Padając, mdlała jeszcze krzyknąć do dziecka — ucieka!

Przerazona dziewczynka odbiegła kawałek i schowała się w przydrożnym rowie. Jak długo leżała nieprzypuszczalnie, że przerażenia, nie pamięta.

Dopiero po jakimś czasie, dzieło dobiegło do domu. Zaszokowana wykrzusiła tam na polu, mama. S. chwycił latarkę i z dwoma kilkunastoletnimi synami wybiegł z domu. Idąc polną dróżką znalazł na niej leżącą kobietę. Ku swej rozpaczy stwierdzili, że już nie żyła.

Szybko o tym morderstwie zawiadomili milicjanta na posterunku MO w Świdnicy. Natychmiast telefon do Komendy Wojewódzkiej MO w Zielonej Górze. W tym czasie zaczął padać dość ulewny deszcz. Po mniej więcej pół godzinie funkcjonariusze dojeżdżali, byli już w Świdnicy.

Na miejscu zabójstwa przystąpił do rutynowych w takich przypadkach czynności. Od kilkunastu dziewczynki, jedynego świadka zabójstwa, nie ma można, by to się dowiedzieć. Była przerażona, zaszokowana.

Funkcjonariusze milicji tego samego wieczoru i nocy przeprowadzili rozmowy z dziećmi, którzy idą z nią. Także z tymi, którzy ostatni widzieli zamordowaną. Intensywne dochodzenie trwało. Miały dni, tygodnie. Bez rezultatu. Do Świdnicy zjechali wezwani funkcjonariusze ze służb specjalnych Komendy Głównej MO. Mimo długotrwałych i drobiazgowych poszukiwań, nie znaleziono mordercy. Kamień w wodę.

DRUT PRZECZ JEDYNIE

Na ruchliwej trasie między Zieloną Górą a Chynowem znalazło na ciału młodej kobiety i dające

go jeszcze znaki życia mężczyzna oraz leżący obok rowu motocykl... Przez szosę, od drzewa do drzewa, przeciągnięty był drut.

Prowadzący z dużą szybkością motocykl mężczyzna, na pewno go nie zauważył. Ta pewność brała się stąd, że był wieczór. Padł deszcz. Widoczność była więc bardzo ograniczona. A wtedy ten od ciekaw trasy nie był jeszcze oświetlony. Po obu jej stronach rósł

las, który zachował się do dziś. Zawiadomiona o tym tragicznym zdarzeniu zielonogórska milicja natychmiast rozpoczęła dochodzenie. Po rutynowych czynnościach na miejscu wypadku, zapukano do drzwi najbliższych domów. Funkcjonariusze MO byli, pewni, że drut przez jedyną zainstalowaną „drak” dzieciństwa.

Długotrwałe i szczegółowe poszukiwania, a także rozmowy z dziećmi, którzy nie dali żadnych rezultatów. Sprawdzani milicjanci z pamięci też okazali się bezradni. Padający deszcz szybko zacieriał ślady.

Nie pomogli też w wyjaśnieniu tego morderstwa specjaliści od kryminalistyki KG MO.

Kobieta, która zginęła w tym tragicznym wypadku, okazała się Zofia M., ciężko rannym motocyklistą — jej starszy brat Franciszek M. Oboje z Zielonej Góry.

Rannego w krytycznym stanie odwieziono do szpitala. Miały dni, tygodnie, miesiące. Operowano się nim szczególnie starannie. Przeprowadzono kilka operacji. Mimo znacznej poprawy zdrowia, ranny nie odyszał jednak panień i nie wyżył. Zajął się nim wybitni specjaliści — lekarze w szpitalach Poznania i Warszawy. Niestety, bez powodzenia. Po kilku latach, Franciszek M. zmarł.

PO DANCINGU W „TOPAZIE”

Jak każdego ranka, przed godziną 8, dzielnicowi spieszycy do szkoły przy ul. Szopena w Zielonej Górze. Kilku chłopów bezostrożnie biegło do szkolnego dziedzińca. W pewnej chwili, któryś z nich wstrząsnął przerażeniem: chodźcie, jakaś kobieta tu leży. Dzieciaki podbiegły. Wtedy jeden z chłopów zbladł i wyszedł: to moja mama.

Dzień wcześniej, piszący te słowa, z dwoma kolegami wybrał się na obiad w restauracji „Topaz”. Obiad podał nam przystawka, ładna i prawie zawsze uśmiechnięta kelnerka. Darzyliśmy ją

dużą sympatią. Praca swoją wykonywała z dużą kulturą i wodową umiętnością. Znamyśmy się, że kelnerka, Małgusia M., wie kim jesteśmy z żądą i gdzie pracujemy. Podaje silną kawę, która nam ze szkoły kłopotów.

Otóż w domu, po sąsiedztwie szka rodzina, w której prawie każdego dnia odbywała się alkoholowa libacja. Zrywając tylko z kłótnym systemem, sama obawiała się zwirowania na jej wstępie. Z jej słowo na ten temat, jakie odpowiadała kłótniami i wymkami. Dzielnicowi funkcjonariusze MO, na prośbę także innych sąsiadów tego domu, odpowiedział: „Sprawa jest nam znana, linie dziękujemy”.

— Napisać panowie w gazecie, może to coś pomoże — pisał nas.

Nie zadziwił nas. Na drugi dzień już nie żyła. Właśnie znalazła zamordowaną na jej wstępie, w bliznę szkoły bawinę się dzieci, wśród nich jej synek.

Później dowiedzieliśmy się, że kelnerka Mariola M. pracowała w restauracji do późnej nocy, do zakończenia ostatniej zmiany. Po rozliczeniu się, pojechała do współpracowników i poszła do domu. Mieszkała niedaleko. Bliznę było jej 16 przeświecała w pobliżu szkoły. Do domu nie doszła.

GWÓZDZ W CZASZCE

Mimo upływu lat, mordercy tego zbrodni dotąd nie widać. Czy może zdarzyć się tak, że z nich zostanie wręcz prowadzony przed sąd? W historii kryminalistyki znane są przypadki, kiedyś, chociażby, w kłótni z dziećmi, widać było, że w początkach naszego wie

Pewnego dnia kowala znalazł martwego w jego kuźni. S. wadzący lekarz, po pobieżnym oglądnięciu zwłok, stwierdził, że w wyrostku serca, kowal uroczyście pochowano na cmentarzu. Po dwudziestu kilkunastu latach, w rezultacie renowacji części, zwłoki odkopano i ponownie grzebano w innym miejscu cmentarza. Rozkopano także grób kowala. Grabarz, mając jego szczątki wawalskiej gwóźdź zauważył, że to niebieszczyka.

Zawiadomili rodzinę, a uciele. No, i zaczęło się dochodzenie. Podejrzenie padło na S. i, z którym kował żył w nie mi niezdolnie. W trakcie śledztwa, podejrzany, już wtedy w szkole, przyszedł do S. i, że Otóż, przechodząc koło kuźni, uważał, że kowal samotnie siedząc na jakimś stoliku. W po cichu, znalazł kowalską w i miłkowi wólił go w czarną siadła. A, że ten miał bardzo na czuprynie, więc gwóźdź było widać. Z głowy nie pękła nawet kropelka krwi.

Tak więc, jak to mówi starym porzekadłem: „Olawa wa nie sprawiła”. Może rzeczywiście jest przypadek, że tak stanał wykrzyki sprawcy o tu zabójstwo? Mimo upływu su. Kto wie?

TADEUSZ SWO

PS. Inicjały nazwisk tu wypujących są fikcyjne. Napisane opisyane wydarzenia — autentyczne.

Przypominajmy: Dom Wczorasy „Raszy” nalczał do najpiękniejszych i najwygodniejszych w Szklarskiej Porębie. Wczorasz, gdy zaczęła się tragedia, był pełen ludzi. Mieszkały tam m.in. dzieci niepełnosprawne i ich opiekunowie z Warszawy. Niekilcy zostali zaskoczeni we śnie, inni, gdy do snu się przyszytywali.

KOMPLEKS HEROSTRATESA

WOJCIECH GLUCH

Pierwszy zobaczył pożar nocny stróż. Rozciągał się po górnicy, ale nie było jego tam, gdzie zawsze stał. Już w 3 minuty po ogłoszeniu alarmu zjawiała się na miejscu jednostka Ochotniczej Straży Pożarnej ze Szklarskiej Poręby. Juncy działali z wielkim zaangażowaniem podczas całej akcji. Mimo pomocy mieszkańców nie udało się jednak pożaru ugasić, gdyby nie nadjechało z dalszej okolicy wiele jednostek straży zawodowej.

Niestety, w pięciu przypadkach ratunek przyszedł za późno. Zginął jeden uczestnik obozu wraz ze swoim opiekunem, starszą, mieszkającą tu na stałe była kierownica „Raszy” z synem, który przyjechał do niej w odwiedziny oraz jedyną zdrową dziecko przebywające tamtej nocy w ośrodku. 5-letni syn kierownika zgropowania. Ojciec ratował innych, bezskutecznie próbując przebiec do chłopca, który spał w innym pokoju...

Trzy dni trwały drobiazgowo oględziny przyczyn. Już w pierwszym wyloczono, na jako jego przyczynę prawdopodobieństwo zwarcia instalacji elektrycznej. Prowadzący śledztwo szybko też zorientowali się, że racja nie było to przypadkowe zaproszenie ognia. Jedną z uratowanych kobiet przypomniała sobie, że na kilka minut przed rozpoczęciem alarmu widziała trzy sylwetki wbiegające z budynku. Zaś kierownica sąsiedniego domu „Zielonej Góry” ogłosiła na milicję, że tamtego wieczu zaczynał się palic i jej ośrodek. Na wch można było jeszcze stwierdzić, że ktoś polewał deski rozpuszczalnikiem.

Opowieści o zażaleniu-piromanie nie dawały spać mieszkańcom Szklarskiej ani milicji. W każdej chwili można się było spodziewać kolejnego ataku.

— Stworzyliśmy kilkanaście hipotez i zaczęliśmy je drobiazgowo sprawdzać — mówi sef Wydziału Dochodzeniowo-Sledczego WUSW w Jeleniej Górze. — Podjęto obserwację przyjezdnych i miejscowych, rozpytywano różne środowiska — o satanistów i ludzi, którzy mogą mieć powód, by nienawidzić dzieci.

Jedną z nich zakładała, że podpalacz może nosić strażacki mundur. Kryminalistyczna takie przypadki. Ostatni na terenie jeleniogórkim miało miejsce kilkanaście lat temu.

Kiedy rutynowo przeszukiwano strażaków z OSP, jeszcze nikt nie skojarzył, że pożary w Szklarskiej Porębie zaczęły wybuchać dzw nie cząsto od 1 października br. W tym dniu

rozpoczęła swoją działalność pięknie wyremontowana nowa remiza strażacka. I już w tym dniu zanotowano pierwszy wyjazd na akcję. Palili się stary, opuszczony budynek przy ul. Wolności. Potem, co kilka dni — znowu były syreny nad Szklarską Porębą, a czworogwiazdowy z OSP gnał się grom. Przesłuchujący zwrócili uwagę, że trzech strażaków dąwnie chętnie, z nadrobieniem sięgającymi opisywało swój udział w akcji ratowniczej. Pięli się jednak pytani o to, co robili wczoraj.

Szczególnie zaangażował się w śledztwie dzielnicowy z RUSW w Szklarskiej Porębie, młd. chor. Jerzy Jarozyński. Po kilku dniach udało mu się zdobyć informację, że niektórzy młodzi strażacy zwykli mawiać, niby żartem, że trzeba coś podpalić, bo jest nudno. Zestawiano ją z tym, co zebrano do tej pory i postanowiono wezwać na ponowne przesłuchanie — siedemnastoletnią, Jacka Cz. oraz dwóch szesnastoletnią: Romaną L. i Bogdaną G. Ten ostatni wyszedł akurat ze szpitala, gdzie leżał odniesione w akcji ratowniczej poparzenia.

Uderzenie było celne. Młodzi strażacy przyznali się do ośmiu podpałów. Największym i najtragicznym było to ostatnie — „Raszy”... O dłuższego czasu interesowałem się pożarami. Lubiłem się przyglądać, jak się coś paliło — mówi Jacek Cz. Jego ojciec jest zawodowym kierowcą w OSP, także strażakiem. Matka pracuje w kuchni jednego z domów wczorasy.

— Chcieliśmy, aby był większy pożar, — mówi i jak do tej pory jest to jedyny wiarygodny powód, dla którego wywołał tragedię. Poprzedniej nocy — z 17 na 18 października — zapalili stołec, od której zajął się budynek gospodarczy. Akcja zakończyła się o 13.

— Byliśmy zadowoleni, że było tak duża ognia, bo chcieliśmy jeszcze trochę pogasić. O 19 spotkali się przed remizą. Jeden z nich miał w rękach słoik z rozpuszczalnikiem, któ-

rym próbował rozpalic drewniany dom „Łazienki”. Ktoś zauważył i szybko ugasił. Wracali zawiadzeni, kiedy któryś wpadł na pomysł, by zapalić „Raszy”. Weszli na górę po schodach. Gdzieś grał telewizor, za drzwiami słychać było głosy, wiedzieli, że budynek jest zamieszkały.

— Ale tam nie było nie do podpalenia. Wtedy zapalnikami rozjarzyli obicia trzech foteli ustawionych w hallu. Jeden z nich postawił na drewnianą łódź. Gadsic, by ktoś za wczoraj nie był użył — schowali. Wczoraj nie zapomnieli uzgodnić, w jakiej kolejności przybiegną do remizy, by nie wzbudzić podejrzenia.

W czasie akcji ratowniczej było bardzo dzieł ni. Tak dzielni, że do dzisiaj jest dwóch, którzy przynajmniej do wywniesienia ciała zaszczadzić staruszkę. Do rana pomagali przenosić i pilnować chore dzieci. Do domu wrócili do piero rano. Marzyli jeszcze kupić cukierki i za nieść je dzieciom, które przeżyły.

— Byliśmy zadowoleni, że było tak dużo ognia i mogliśmy się wykazać, być byliśmy niezadowoleni, że zginęło tyle ludzi i że powiedzieli prowadzącemu śledztwo prokuratorowi Lesławowi Królowskiemu z Jeleniej Góry swoje uczucia.

Są przeciętnymi chłopcami. Gdyby ich ustawili w zbiórkowości rówieśników, nieczym by się nie wyróżniali — mówią ci, którzy się z nimi zetknęli.

W pierwszym dniu po ujawnieniu, iż to oni są właśnie sprawcami nieszczęścia, ochowywali się niepewnie. Ale potem — w obecności dziennikarzy, przed kamerami, w czasie wizji lokalnej i kręcenia programu dla telewizji, byli swobodni. Chętnie i wyczerpująco odpowiadali na pytania.

— Jakby nie zdawali sobie sprawy ze skutków, do jakich doprowadzili ich głupota — mówi kpt. Adam Różycki z WUSW w Jeleniej Górze.

Gdyby bezpośrednio po tragedii dostali się w ręce mieszkańców Szklarskiej Poręby, mogłoby dojść do lincoz — oceniał przedstawicieli organów ścigania. W 8 dni później — po zatrzymaniu — jednak emocje opadły. Zaczęto na chłodno analizować powody, dla których nieśli w sumie chłopcy, z zapracowanymi rodzinami (matki wszystkich pracują w domach wczorasy) musieli się w taki sposób „wykazać”.

— Był to sposób na wyjście z anonimowości — mówi psycholog.

Chcieli coś przeżyć, być potrzebnymi, sprawdzić się w trudnych sytuacjach. W kurorcie, do którego przyjeżdżają ludzie z milionami w kieszeni, był to sposób, by zaizolować w swoim środowisku.

Jacek Cz. przebywający w areszcie sledczym, po rozmowie z prokuratorem polknął gwoździ, który trzeba było mu uścisnąć z kranu operacyjnie.

Zrobił to dlatego, by ze sobą skończyć, ale po to, by doświadczyć współczucia ze strony otoczenia.

— Diabelska karuzela, na którą beznamiętnie wsiadli, jak widać kręci się nadal.

Bądź przyjacielem Paradyża

Gorzowskie Wyższe Seminarium Duchowne liczy sobie 42 lata. Jest, jak to wyraził w swym liście pasterskim ks. biskup ordynariusz dr Józef Michalik, „sercem i żłenicą całej” całej gorzowskiej diecezji. Mieści się w budynkach poklasztornych w Golekowie-Pa radży. Utrzymuje się wyłącznie z ofiar wpływających z parafii, a pochodzących od księży i diecezjan.

„Wzrost kosztów utrzymania i stoki cenowe dotkliwie goda i szkoci w seminarium” — pisze ks.

biskup, wyrażając jednocześnie wdzięczność ofiarodawcom, dzięki którym czynione być mogą konieczne remonty zabytkowych obiektów.

„Dziękuję rodzinom, z których wyży powołania” — pisze na koniec rada diecezji — „rolnikom za przekazano do Paradyża pomoc w postaci plodów rolnych i wszystkim, za składane ofiary”.

W parafiach powstają grupy „Przyjaciół Paradyża”, których celem jest składanie ofiar materialnych na rzecz uczelni, a także fundowanie stipendium nieznanym studentom.

(a)

SERCEM I CZYNEM

Stronictwo Demokratyczne w Zielonej Górze pod wojewódzkie obrady plenarne wzięło problemy ludzi niepełnosprawnych. W dyskusji udział wzięli także niepełnosprawni, którzy chcą dorobić do renty, pragnienie pracować. W samym tym Gubinie takich ludzi jest 157, w Krośnie Odrzańskim 59. Szukają pracy, daremnie.

Mówiono też o potrzebie inspirowania rzemieślników, zwłaszcza parających się tzw. drobną wytwórczością, do produkcji protez, lasek, aparatów i przedmiotów, potrzebnych ludziom niepełnosprawnym i chorym.

W obradach uczestniczyli: poseł Alfred Bielawicz — przewodniczący Klubu Poselskiego SD, wiceprezes Regionalnego Związku Spółdzielczości Inwalidzkiej Maria Kunicka, lekarz wojewódzki Wiesław Kubacki i prezes Towarzystwa Walki z Kłopotem dr Edward Handkiewicz. Przewodniczył wiceprezes WKZ SD lek. med. Władysław Kubiński.

Na koniec uwaga pro domo sua: obrady SD odbywały się we wtorek 28 listopada br., w dniu, w którym ukazało się nowe „Nadodrze”, a w nim publikacja Haliny Skarbeck pt. „Towarzystwo dobrych serc”, o tych samych problemach. Stało to dostrzeżenie przez obradujących, za co dziękujemy (s)

**BORT
PTTK**

ZIELONA GÓRA
ul. Świerczewskiego 17
tel. 714-61, 54-91
tlx 433187 pttk

**Z nami jeszcze
tanie!**

zapraszamy:

- DO BERLINA ZACHODNIEGO
- DO ZACHODNIEJ EUROPY
- DO BETLEHEM
- DO ALGERII
- NA BAL SYLWESTROWY
W JUGOSŁAWII
- NA WCZASY, KOLONIE
I WYCIECZKI PO KRAJU

załatwiamy:

- WIZY DO RFN
- PASZPORTY



Korespondencja z Berlina Zachodniego

KAMIEŃ Z MURU

Gazety podają, że od 9 listopada br. Niemcy z NRD wywieźli ze swego kraju ponad 3 miliardy marek wschodnich i wymienili je w bankach RFN i Berlina Zachodniego, na zachodnie. Na placach Flohmarkt i w innych miejscach, obok Arabów, Turków, Polaków i Bóg wie jeszcze kogo, staje tam teraz często również Niemiec z NRD, oferując po niskiej cenie, co ma do zaoferowania.

W bankach ciągle tłok, choć otwarte pozostają nieprzerwanie przez cały dzień, do godz. 20.00. Przed taśmami sklepowymi, głównie przed „Aldim” i „Wolvoorthen”, widać kolejki. Ale ruch uliczny wydaje się jakby mniejszy. Wielkie miasto szybko wchłania wszystko i wszystkich.

Krajowi dowiecy o Niemcach z NRD, którzy po otwartym się przydziałowych stu marek zachodnich, podobno natychmiast starają się zgubić dowód osobisty by później wrócić raz jeszcze do koleki po stówę, z nowym dokumentem.

Kwintę handel kawalkami muru! Widziałam chłopców tureckich siedzących w kucki przed szarymi brykami, w cenie od jednej marki, do pięciu. Ci sami mali Turcy kupują w sklepie „cole” i „fante” w puszkach po 59 fenigów i walcąja przechodniom z NRD po jednej marce. To też jest interes.

Pod Europa Center rozstawiono kilkanaście stołów i ławy do siedzenia. Rozdawana jest tu, wprost z kotłów, grochówka z beczkiem, kiełbasa i kromka chleba, wyciągnięte obywatelom NRD, za okazaniem ausweissu. W innym miejscu spotkałam wielki napis na płocie, zapraszający gości z NRD na

świeży, gorący sznycel, w cenie tylko jednej marki, w dodatek wędlinę.

Cukiernie, kawiarnie, szynk bary — wszystko otwarte jest niemal od świtu do nocy, dla przynajmniej dla kobiet, bogato ilustrowane zdjęciami rozbranymi panów. Ciężko widać, że ci mężczyźni z prasa. Ścisną panuje wszędzie tam, gdzie wyłożone są pisma z zdjęciami gołych kobiet. Leżą pisma szargane, porozdzierane, zaryzykowane „na śmierć”.

Wielką sensacją na rynku piwowym wrzuciło ukazanie „Play-Girl”, pisma przeznaczającego dla kobiet, bogato ilustrowane zdjęciami rozbranymi panów. Ciężko widać, że ci mężczyźni z prasa. Ścisną panuje wszędzie tam, gdzie wyłożone są pisma z zdjęciami gołych kobiet. Leżą pisma szargane, porozdzierane, zaryzykowane „na śmierć”.

Berlin Zachodni już przybrał świeżość wiosny. Widać, że widać, kolory, dekoracje, i ta niesamowita masa towarów, dająca wrażenie dostatku, sytości i spokoju. Polak chodzi, ogląda — i guba niezupełnie, wchłonięty.

Inaczej całkiem, jest po drugiej stronie muru. Tu spotykasz się wręcz z wrogością. Nastroszeni przeciwko Polakom są także i strach się gdziekolwiek zatrzymać, wejść, zdradzić z polską mową. Opowiadali mi znajomy, że w piwnicy w Berlinie Zachodnim odmówiono mu kufła piwa. „Jacy wszyscy wypyl!” — powiedział właścicielka, w wieku do podziwiania, patrz — jak mówił — z nienawiścią.

Prasa pisze o wypadkach na cmentarzu polskich samochodów i kazię zbrodni na transzytowej drodze. W taki sposób kamień z berlińskiego muru trafiają nas. **BEATA BARTOSIEWICZ**

„Edukacja Rity” i widzów

O braku zainteresowania teatrem w Zielonej Górze więcej się mi, mniej robi. Reżyser Zbigniew Lesień, który aktualnie przygotowuje przedstawienie sztuki Russella „Edukacja Rity”, próbuje przebić mać barierę. Zapropnował szkołom średnim bezpłatne spotkania z młodzieżą. Pierwsze takie spotkanie odbyło się w Liceum Ekonomicznym.

Rozmowy o teatrze oraz o pracy aktorów, reżyserów i innych ludzi, których wiedza, wysiłek i pomysły składają się na to, co widz na scenie, może zaowocować. Młodzież jednak nie wydaje się zbyt ekscytować ani teatrem, ani sztuką w ogóle i trudno ją sprokować do wypowiedzi na te tematy w bardziej ogólnym wymiarze.

Kino? Video? Tak. W Zbigniewie Lesień natychmiast rozpoznał postacie filmowe z „Kławy Doliny Wązy” i innych filmów z seriali TV. Na koniec młodzież, zachęcona przez reżysera, wyrażała chęć obejrzenia „Edukacji Rity”. Taka edukacja widzów wydaje się w obecnej sytuacji bardzo pożyteczna.

Nie zabijać aktora

W poprzednim numerze „Nadziei” w rozmowie H. Akiel z reżyserem Z. Lesieniem była mowa o karygodnym zachowaniu się widzów, która podczas przedstawienia „Hrytana-Brzyła” w teatrze w Zielonej Górze, strzelała do aktorów z procy, na skutek czego spiekł się dwukrotnie przeżył.

Aktorzy występujący w tym przedstawieniu proszą teraz, by dodać dwa szczegóły. Pierwszy: że nikt na szczęście nie został poszkodowany, choć „pociśki” były ostre. I

drugi: że kodeks ZASP zabrania publiczności wchodzić na scenę. Właśnie w tym przypadku kogoś nie w Zielonej Górze, z kogo w przedstawieniu przezwano — i potem stał się jednym z takich, którym, surowo oceniano.

Do aktorów więc, także dla publiczności teatru, przewanie i taki jest koniecznością, podawać tylko w przypadkach szczególnych i ostatecznych.

Tym smutniejszą, gdy powód jest widownia.

7.45 „Po gospodarsku” — mag.

„leranek” a w nim „Jank”

10.35	(12) - serial, prod. pol.-RFN
10.38	„Him Hensson przedstawia świat
11.30	teatru lalkowego” - film ang.
12.45	Telewizyjny koncert zespołu
12.45	Teatru Młodego Widza: Andrzej
13.30	„Mechanizm” - film pol.
13.40	„Magna Magdaena” (1)
14.40	„Sportowa niedziela”
14.50	„Morze” - magazyn
15.30	Formagazyn „Powszechnie”
15.35	„Panna dziezieczka” (30) - s.
16.30	prod. brązkiejjki
17.30	Koncert na szczercie
18.30	„Wideo - top”
19.30	„Kieciowizna” „Siostrzency
20.05	„Dekalog - jeden” - film
21.00	pol. red. K. Kieciowski
21.30	„Siedem dni - Swiat”
22.10	Filmy Jozefa Blachowicza:
	„Gorkzi naka wody”, „Lina”

PROGRAM II

8.45	Przełaz tygodnia (dla nie- dziwanych)
0.20	Film dla niesłyszących: "Deka- log - jeden" - film prod. pol.
11.15	"Peryskop" - pr. włoskiej telewizji
12.20	Polska Kronika Filmowa - mag. filmowa
12.30	"100 pytań do..."
13.10	Teatr ekspresji
13.40	"Księżniczka i wieświec o życiu" - film familijny: "Chata w USA" Toma (1) - film fab. USA
14.40	"Jest" - film dokumentalny
15.45	"Podróż w czasie i przestrzeń" - film wyprodukowany przez "Pier- ścienik" (6) - s. dok. austral.
17.00	Studio Sport
17.30	"Bliżej świata" - TV - sat.
18.30	Przełaz tygodnia: "Przygo- dowa Gwiazda" - film Denzela
20.00	Studio Sport
21.00	Program poetycki
21.45	"Przełaz tygodnia" (15) - serial prod. USA
22.15	Akademia wiersza: "Przygo- dowie" Krzysztofa Kamila Ba- czkowskiego
22.50	Kompendium dnia

1.45 „Wojna i pamięć” (15) —
serial prod. USA

temia wiersza: „Przypo-
6” Krzysztof Kamila Ba-

22.50 Wyszysztka Kamila Ba-
czyńskiego
Komentarz: dnia

11.XI – PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

3.30 14.00 TTR – Chem. i biol. (I)
3.30 NURT – Rozmowy o kwi.
6.20 Program dnia – Telegazeta
6.25 „Luz” – pr. nastolaków
7.55 „Wędrowniki dalekie i bliskie”
8.30 Wzruszająca budowlana
8.50 10 minut
9.00 Dobranoc „Kot Leopold i pi-
raci”
9.05 Teatr Telewizji – W. Szekspir
„Ryszard III” – reż. Feliks Falk

- Echa دنیا

* Francuski (8)

PROGRAM II	
6.55	Język angielski (9)
7.30	Antena - "Dwójki"
7.45	Opieczna lokalna - polszczyzna"
8.00	Programy lokalne
8.30	Kongres kultury polskiej 1981" pr. dok.
9.30	"Koncert w kluczu basowym" 80-lecie prof. Wiktora Gadinzkiego
10.00	Auto Moto - Fan - Klub"
10.30	"Sądzimy sami"
11.15	"Rozmowy o cierpieniu"
11.45	Biografie: "Rubens - malarz i dyplomata" (4 - s. prod. bel.)
22.40	Kompendium

[illegible]

ja nie odpowiada za zmia

ny w programie dokonane w ostatniej chwili przez TVP

ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” redakcji „Nadodrze”. Za Materiałów, tekstów oraz zdjęć przypadku wykorzystania nie za- sobie prawo skrótów i zmian

ach prenumeraty udzielają Od- pocztowe. Zlecenie wysyłki za- „Ruch”, Centrala Kolpożarza i- owa 28, konto P.B.K. XIII Od- ata jest droższa od prenumeraty

Tygodnik Społeczno-Kulturalny Pismo Lubuskiego Towarzystwa Kulturalnego
ADRES REDAKCJI: Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, tel. 71-41-10-10
Redakcja: redakcja naczelnej 708-23, z-ca red. naczelnej 30-13 oraz centrala 64 i 67 (dla czytel. wewnętrznej) telex 6032538 **REDAGUJE KOŁO** redakcyjne
Redaktorzy: Zenon Łukowski, Krzysztof Holyński, Janusz Konuszko, Andrzej
 Gysard Rowiński oraz Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.). Korekta: Beata Bartosiewicz
SEKRETARIAT REDAKCJI: Ełżbieta Waleńska **WYDAWCA:** Lubuskie Towarzystwo Kulturalne
 Niekopcewskiego 25 65-002 Zielona Góra, skrytka pocztowa 3, Centrala telex 64 i 67
Dyrektor naczelny: Zbigniew Piętkiewicz tel. 71-8-88-88
Redakcja: redakcja naczelnej 708-23, z-ca red. naczelnej 30-13 oraz centrala 64 i 67
SENZA przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa

niwa Prasowej oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju. Ponadto sekretariat redakcji „Nadodzie” za pośrednictwem redakcji nie odpowiada. Materiały, które nie zostały zamówione w redakcji nie wracają. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo rozstrzygnięcia i zmian tytułów

PRENUMERACJA: informacji o warunkach prenumeraty udzielają Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” w siedzibie poszczególnych Zrzeszeń wysyłając za pośrednictwem „Prasa-Książka-Ruch”, Centrali Kolportażu i Wydawnictw, 60-550 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto P.B.K. XIII Oddział RSW Warszawa 57064-195-132-8. Prenumeratę jest droższa od prenumeraty w formie elektronicznej o 300 procent.

Zam. 1183

K-19

W ostatnich latach wydarzenia gonią wydarzenia i czasami po prostu zapominamy o tym, co było jeszcze tak niedawno. Kurczak su pokrzył też sprawę, o której przypomniałem sobie zupełnie nieoszukiwanie dzięki red. Mieczysławowi Więtkowiczowi. Dziennikarz „GL” przeprowadził wywiad z dyrektorem Wydziału Kultury Fizycznej Urzędu Wojewódzkiego w Zielonej Górze, Zdzisławem Rola. Rozmowa ardażo interesująca, bo dotyczyła przyszłości administracji i instytucji zajmujących się sportem. W sytuacji, gdy dotychczas budżetowe na finansowanie ich działalności stoją pod dużym znakiem zapytania, trzeba mocno zastanowić się, co robić. Próba odpowiedzi na to pytanie jest właśnie wspomniany wywiad.

Dyrektor Rola relacjonuje przebieg spotkania szefa polskiego sportu — Aleksandra Kuwańskiego z przedstawicielami wojewódzkiej administracji. Okazuje się, że na samej górze respektu kultury fizycznej też nie bardzo wie, co dalej. Nic więc dziwnego, iż na pierwszym szczepku zainteresowani sami o porę próbują szukać różnych rozwiązań. Z wyjątku dowiadujemy się, że konkretna koncepcja zrodziła się też w Zielonej Górze. Zamierza się dokonać redukcji etatów i lokali, by uzyskać niezbędne oszczędności, po przez połączenie sił organizacji sportowych i kultury fizycznej sekcji wojewódzkiego. Powstałoby wspólne biuro dla WFS, LZS,

TKKF, „Startu”, okręgowych związków sportowych itp. W kryzysowej sytuacji, w jakiej znalazł się także sport, jest to godna uwagi próba wyjścia z opresji.

Red. Więtkowicz przytomnie zauważył w rozmowie z dyr. Rola, że podobna próba przed laty została poczyniona w Gorzowie przez ówczesnego dyrektora Wydziału Kultury Fizycznej Urzędu Wojewódzkiego — Franciszka Urbana, ale zakończyła się niepowodzeniem. Było to rzeczywiste wydarzenie i warto do niego wrócić choćby w kilku słowach.

Czas ma to do siebie, że po latach zaciera ostrość ocen. Na przełomie 1982/83 r. (o ile mnie pamięć nie myli) projekt dyr. Urbana na wywołal ostry sprzeciw przedstawicieli (a zwłaszcza kierowników gremiów) wszystkich organizacji kultury fizycznej sekcji wojewódzkiego w Gorzowie — WFS, LZS, TKKF, SZS itd. Najkrócej mówiąc, dyr. Urban był autorem koncepcji, wpede której miało powstać jedno wspólne biuro dla wszystkich tych organizacji, dzięki czemu poczynione zostałyby duże oszczędności etatów, pomniejszeń itp. Autor projektu napotkał na ogromny sprzeciw. Rozpętał burzę, która po gorących dyskusjach i debatach, uciechła do piero, wtedy, gdy dyr. Urban wycofał swój pomysł. Wszystko zostało po starciu, a sam dyrektor wkrótce odszedł ze stanowiska. Obecnie szejfuje Gorzowskiemu

Przedstawiciel Turystycznym „Warta-Tourist”.

Tak się złożyło, że również byłym zaangażowanym w tę sprawę, w ówczesną administrację, przesłał Zarząd Wojewódzkiego TKKF w Gorzowie. Też byłym przeciwko koncepcji dyr. Urbana, co wyrażałem na wspomnianych spotkaniach, a także w potęgowanych tekstach na łamach „Jeleni Gorzowski”. Dnia, kiedy patrzę na to wszystko z perspektywą lat, znaczenie pozytywnej oceny inicjatywy dyr. Urbana, którego osobiste szanuję, ale nie zmieniam zdania, że veto postawione dyrektorowi przez aktywny sportowy był słuszne.

Tak się bowiem składa, że za wypowiedziami ekonomicznymi (a te wyraźnie wskazywały na duże koszty finansowe w praktyce wprowadzenia reformy), kryły się nieco inne intencje. Zza woalicy cyfr wyzierała próba narzucenia społecznemu przebieg organizacji dorobku władzy administracji państwowej. Słabo nie tyle o oszczędnościach, ile o znaczeniu ograniczenia własnej tożsamości tych organizacji. Pieniądz z budżetu państwa na działalność tych organizacji miał być tak samo, tyle tylko, że dokładnie dzielony przez władzę urzędu wojewódzkiego. I tu był pies pogrzebany. Gdyby ówa koncepcja dyrektora miała odnieść sukces, sprawa wyprzedziłaby przesądzone sprawy. Aktywność organizacji sportowych właśnie dlatego wówczas w Gorzowie zaprzestawiano, że była to próba pozabawienia ich samodzielności co najmniej kilkoletniej z ich istnieniem prawem do samostanowienia. Owe finansowe oszczędności były tylko parawanem... Chciano po prostu zdebić demokrację, której wtedy i tak nie było.

Podobieństwo obecnej koncepcji zielonogórskiej do tamtej gorzowskiej jest więc tylko pozorne. W Zielonej Górze bowiem jest to próba utrzymania przy życiu organizacji kultury fizycznej i sprawdzonych form ich działania w sytuacji, kiedy z budżetu państwa (czy województwa) nie spłyne żadne na stółka lub będzie to dotacja niemal symboliczna. Koncepcja połączenia sił tych organizacji jest więc zupełnie na miejscu.

Jest jeszcze jedna, istotna różnica. Dyrektor Rola w wywiadzie dla „GL” wyraźnie zaznacza, że jest to tylko propozycja, która niekoniecznie musi być ucieloną w życie, bo nie organizacjom społecznym nie zostanie narzucone arbitralnie. I to jest postawienie sprawy uczciwie, by nie było po prostu normalnie. Dyrektorowi Urbanowi tego przed laty zabrakło. Próbował rzec całą siłą narzucić środowiskom sportowemu, poruszając się nawet do pozostawienia kierów i choćby tylko dlatego, nie należy zatłoczyć, że mu się nie udało...

Jedno tylko nie ulega kwestii i to tym Franciszek Urban jakby wyprzedził epokę, która dopiero miała nadejść. To mianowicie, że polski system kultury fizycznej, i to na wszystkich szczeblach wymaga obecnie gruntownego przebudowania. Ta operacja jest nie do uniknięcia...

ELITA W ŚLAWIE. O tym buskim czasopiśmie zwykło mówić tylko krytycznym tymczasem Jan Kaczmarek baretu „Elita” wyznał w tygodniku „Veto” (nr 48): — Od ślepiu lat jeżdżę nad to samo ziarno Ślaskie na Ziemi Łukkiej... — Kiedyś jezioro było do podpadu. Niedawno wyłano oczyszczalnie i woda z niej się tak czysta, że można spać raki. Na wysypisku żądziły się kormorany, a ostro widzieliśmy z Jakiem potęgę go zaskrońca.” Jak z tego wynika niebawem w Ślawie spotkamy Szczepanika, tego od „Kornów”. Sama elita!

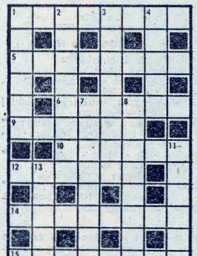
GŁOSŁA DO PORNOGRAFA 24 n-rze „Nadodrza”, pierwszy w edycji tygodnikowej, raz w edycji Haliny Alaski i m. in. Władem Piotrowskim z Zielonej, zatytułowana niebanalnie w Pana slychach, Panie senato! Jest też w tekście pasus dotyczący „Nadodrza”. Co do „Nadodrza”, to moim zdaniem pojęli to możliwe, rozpoczęli reorientację filozoficzną i techniczną zaprzestali drukować tekstów pornograficznych, orientację posłusznie rozpowszechnili w literaturze pięknej” natychmiast zlikwidowali. Niezbędne wydaje się, że na bardzo krótko przedstawić słowa „pornografia”, a tu jednoznacznie opinił literaturę znawców. „Pornografia ma charakter ugodowy, jej kryteria są kryteria terytorialne, mając do odmiann obyczajów, oddzielając wzorcowe religijnych, istniejącego rodzaju tabu itp. Dziełane w pewnym okresie przez nie publiczną, p. w. imprezach mogą nie być tak słone (przykład „Ulissesa Joyce’a”) — czytamy w „S. ku terminów literackich” M. wickiego, T. Kostkiewicza, A. pień-Sławiańskiego i J. Ślawiego („Ossolineum” 1976).

WSTĘP TYLKO ZA OPIŁ Jak donosi tygodnik „Polityka” (nr 47) — Do Klubu „Książki w Gorzowie Wlkp.” szesane są osoby, które także na sprzedanie im za 1000 zł wstępu. Decyduje personel Klubu niebawem zostanie wyłoniony, teraz po wprowadzeniu do tej instytucji pojęcia 24. Nie pierwszy to już raz karze „Polityki” dyskretnie mówią, że wypracowały rynek podlegają weryfikacji. Ale to po argumenty jechnąć aż do rzew?

BIULETYN. Numer 4 Zielonogórskiego Biuletynu Miejskiego „DARNOŚĆ” w tym tygodniu się na początku listopada b. nakładzie 2 tys. egz., jest kurnym wydawnictwem — pełne niechlebny polszczyzną, dyktymu i rozmianu i z takimi Prawie nie o związkowym w mieście, natomiast wiele w kierstwa, manifest pokretny i bodaj aż 19 dinków pod sem „Gazety Lubuskiej”. Jest jeszcze atak na Turystyczny Zarząd Regionu „S...” na papieru?

ROZRYWKI umysłowe

Redaguje
Stanisław
Piatycki



go nie należący do kleru. 9. Szybki zagłowiec handlowy z XIX w. 10. Nasiadówka. 12. Zając. 14. Religijny pochód. 15. Pustynny pokład.

Poniżej:

1. Przedział w stodole. 2. Jeden ze stanów w Appalachach. 3. Pierwsze przedstawienie. 4. Do kłębka. 7. Wygląd zewnętrzny osoby. 8. Czajka Kołuszkiej. 11. Działo. 13. Zjawisko nie tylko polarne.

Rozwiązanie zadania prosimy na deszcz na adres naszej redakcji do 18 grudnia br. Na kopercie na leży nakleść zamieszczony niżej kupon. Do wylosowania będą dwie nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR 23

Krzyżówki — poziom: szpunt, aromat, dekada, alaman, Szwarz, pionowo: szpada, pozoka, Nevada, retusz, mamona, taniec. Krzyżówki dwuliterowe — poziom: Kachaczan, karykatura, fanatyzacja, ladacznicza; pionowo: kaczka, chęć ka, Ankers, ryżyna, tulaż, fasola, Tylicz, karoca.

Zestawy książek wylosowali: ADAM BONDOS z Konina oraz JANUSZ GROCHOWSKI z Włocławca. Gratulujemy.

Poziołmo:

1. Kobytę — pocziwina. 9. Włoskie kapiełsko znane z piosenki. 6. Członkowie kościoła katolickiego.

Kupon nr 26

KRZYSZTOF HOLYŃSKI